



4
figa bez
maku



6-7
modlitwa



11
Doris
i synowie



12
sądu dzień
powszedni

13
Kolno na
włókach

14
alfabet
pędzla

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

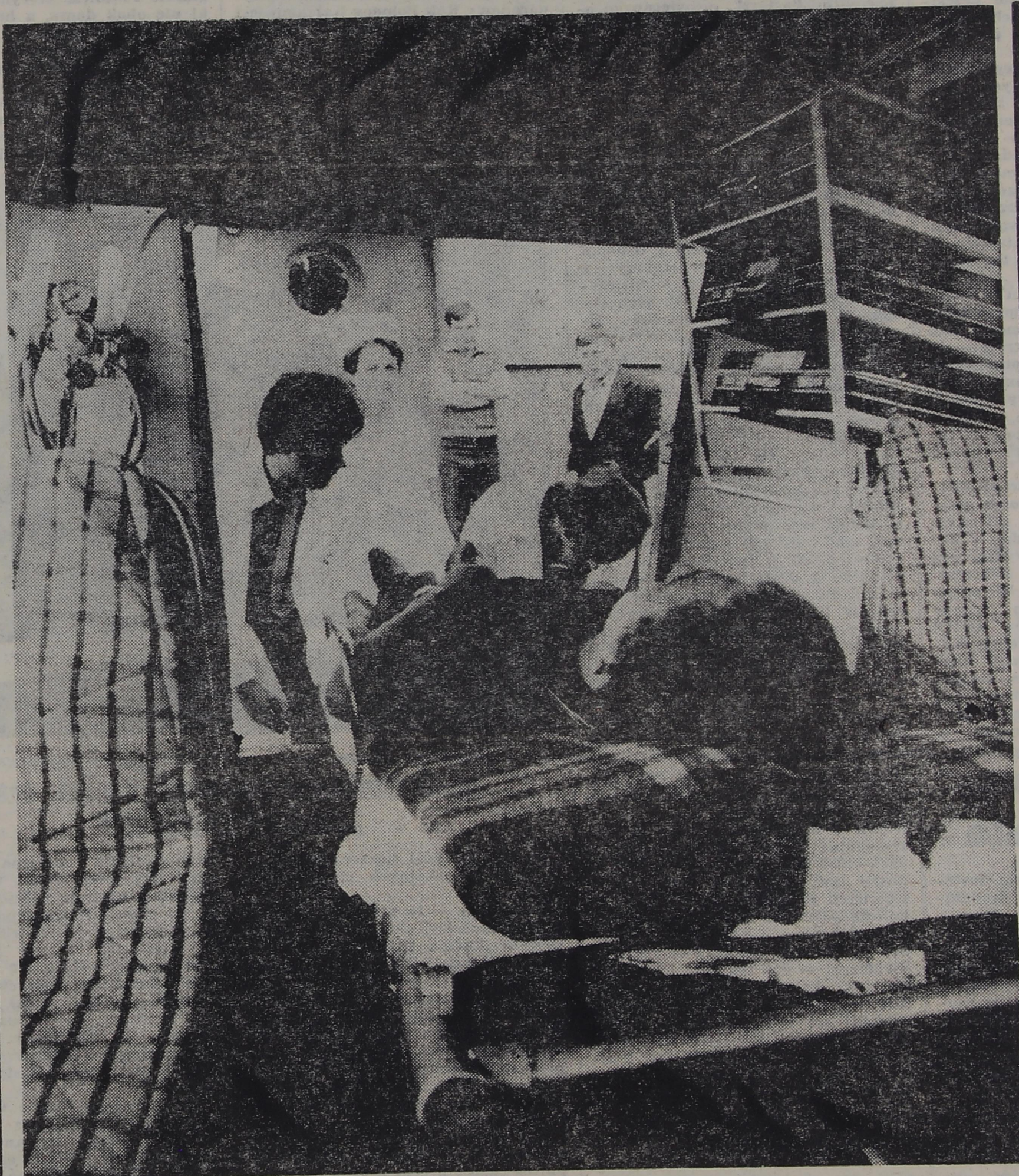
30

(57)

KONTAKTY

2 VIII 1981

Cena 6 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

niebieskokrwiści w białych fartuchach

DANUTA
i ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

Zaproszono nas niedawno do udziału w spotkaniu, czy raczej obra-
chunkowym „braniu się za tby”: — Jeżeli przyjdziecie, wygarniemy
wszystko. Miał to być z pewnością argument koronny i zachęcający.
Bardziej interesujące było jednak inne stwierdzenie: — To będzie
pierwsze od lat spotkanie z dyrektcją.

cień premiera

WŁADYSŁAW
TOCKI

Cień Wielkiej Osoby. Antek stróż z opiekuńczym skrzydłem wepchniętym luźno w kaburę podpiętą pod pachę. Z odbezpieczonym „gnatem” w skrytce służbowej limuzyny. Kamrat tajemny na trybunie, na raucie i w drodze do wychodka; w ryku klakerskich okrzyków i łotymnych westchnięć. Pierwszy powiernik słów wielkich, doniosłych przedsięwzięć i cichej, wieczornej radości pełnych pokus buduarów. I ja — chłopak z Powiśla, handlujący bimbrem i rąbanką, dorabiający klucze i zamki w kłitce na Bednarskiej — prawie rok nim byłem Osobistym — pierwszego po wojnie premiera. Bardzo proszę — tak wyglądały kiedyś ważne dokumenty: „Rzeczpospolita Polska Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, nr 29, Warszawa dnia 1.1.1946 r. Zaświadczenie. Niniejszym zaświadcza się, że funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ob. por. Leon Pyffel jest przydzielony do ochrony członka Rządu Jedności Narodowej. Ob. Premiera Rządu Jedności Narodowej RP [...]”

Stąd ten nawyk: — Legitymację proszę — długopis w rękę i do kajetu — imię, nazwisko, numer, firma. I nigdy — zauważył pan? — nie siadam tyłem do drzwi. Lubię mieć wgląd.

W czterdziestym piątym, szóstym roku wgląd trzeba było mieć szeroki. Obrzyneków nie chodziło się oglądać do muzeum; nasza władza kończyła się często na skraju lasu. Miałem pod sobą dwunastu ludzi, chłopców jak ta lala, młodych, którym strach poniżej pasa latał. Ale były sytuacje kiedy, przez pluton — z palcem niebezpiecznie napiętym na spuście — przechodziło mrowie. Ze szarzał na twarzy, garbił się w siedzeniach ryczących na maksymalnych obrotach samochodów.

Premier Osóbka nie kochał ochrony. Denerwowało go, że łączy z nim krok w krok. Miał za to trzy inne namiętności — pracę, grę na skrzypcach i piękne kobiety. To był przystojny mężczyzna, młody, za którym obejrzałaby się każda, nawet gdyby nie był u szczytu władzy. Przychodził więc niekiedy z figlarnym uśmiechem i pytał: — To gdzie, poruczniku, jedziemy? — Wiedziałem gdzie... Tylko, że po tych nocnych eskapadach Wisielka, jego żona, której o wszystkim donosił adiutant, patrzyła na mnie, jak na żulę.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

CIĄG DALSZY NA STR. 3



IX NADZWYCZAJNY ZJAZD POLSKIEJ Zjednoczonej Partii Robotniczej jest ciągle żywym we wspomnieniach delegatów; dzielą się nimi w swoich podstawowych organizacjach partyjnych. Można więc powiedzieć, że debata zjazdowa jeszcze trwa. Delegaci są bowiem ponownie pod ostrzałem pytań swych wyborców i muszą głosić się nad odpowiedziami. Relacje przekazują uczucie — ze wszystkiego; także z rozmów w kuliach i spotkań w czasie przerw. Najważniejsze miejsce zajmuje jednak w nich pytanie: — Co będzie robić Partia, by kraj jak najszybciej wyszedł z kryzysu, a odnowa socjalistyczna była konsekwentną wielodniową dyskusją, przyjętych uchwał i programu Partii?

Pierwsze spotkania odbyły się już w ŁZPB „Narew”, w KW MO, Komitecie Miejskim w Łomży, Komitecie Wojewódzkim. Ocenie uczestnictwa delegatów w pracach Zjazdu było również poświęcone posiedzenie egzekutywy KW.

25 POSTULATÓW różnego kalibru, przeważnie dotyczących najtrudniejszych problemów życia codziennego, było przedmiotem kilkogodzinnych obrad (aż do północy) przedstawicieli MKZ „Solidarność” z władzami miejsko-gminnymi w Łomży oraz dyrektorami zakładów pracy, służb komunalnych, przedstawicielami handlu. Wielokrotnie powracał problem zaopatrzenia i sprawiedliwego podziału tego, co jeszcze jest.

Członkowie „Solidarności” zwrócili się z propozycją umożliwienia im udziału w posiedzeniach sesji rady narodowej; w kontrolowaniu sklepów — w celu wyeliminowania nadużyć. Prawdziwą natomiast burzę wywołał problem przydziału mieszkań. W tej sprawie odbędzie się w najbliższym czasie kolejne robocze spotkanie zainteresowanych stron.

ZASADA ŁĄCZENIA przyjemnego z pożytecznym ma swoich zwolenników także wśród członków ZSMP. W okresie lata jedną z popularnych atrakcji wypoczynku jest wędrowka szlakami życia i działalności wielkich Polaków. W ostatnim okresie powróciła do Łomży stuosobowa grupa członków ZSMP z wyprawy „Szlakiem Mikołaja Kopernika”. Imprezę wzbogacali konkursy, eliminacje sportowe, turnieje wiedzy o Warmii i Mazurach, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc związanych z pobytem w

tym rejonie patrona tego przedsięwzięcia.

22 LIPCA rozpoczął się w Szczecinie obóz dla aktywów kulturalnego ZSMP zorganizowany przez wojewódzkie domy kultury w Łomży i Szczecinie.

ROZPOCZĘŁO w Łomży pracę Koło Młodych Literatów. Skupia ono młodych stażem adeptów pióra, którzy pod okiem Janusza Termera (byłego redaktora naczelnego „Nowego Wyrazu” — pisma młodzieżowej literackiej) doskonalą na comiesięcznych spotkaniach swoje umiejętności pisarskie. Koło działa przy MDK — Dom Środowisk Twórczych.

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH w Łomży — według klasyfikacji dokonanej przez warszawski Instytut Kultury — znajduje się na czwartym miejscu w kraju wśród placówek poszukujących (skutecznie) nowych metod i form pracy kulturalnej.

UKAZAŁ SIĘ W SPRZEDAŻY pierwszy numer kwartalnika „Epoka Literacka”, wydawanego w Warszawie, w nakładzie 1500 egzemplarzy jako pismo klubu pisarzy Stronnictwa Demokratycznego. Redaktorem naczelnym został Cezary Leżeński, a prowadzenie działu poezji powierzono łomżyńskiemu poecie, Janowi Kulce. W inauguracyjnym numerze drukuje on fragmenty swego poematu „Pasterz”, poświęconego osobie Jana Pawła II. Obok poezji „Epoka Literacka” prezentować będzie prozę, eseje, recenzje i kronikę wydarzeń literackich. Chcemy też poinformować, że na rynku księgarskim pojawił się nowy tomik poezji Jana Kulki „Krag otwarty”, wydany w skromnym nakładzie 2 tys. egzemplarzy przez „Ossolineum”. Zbiorek przynosi kilkadziesiąt nieznanych dotychczas wierszy poety.

W ŁOMŻY powstał Społeczny Komitet Pomocy Inwalidom i Osobom Niepełnosprawnym — wyłoniony z miejscowych organizacji młodzieżowych: ZHP, ZMW, ZSMP. Jego celem jest gromadzenie środków finansowych z przeznaczeniem na pomoc mieszkaniową i gospodarcze usamodzielnienie osób niepełnosprawnych, najbardziej jej potrzebujących. Niektóre głosy w dyskusji podczas posiedzenia założycielskiego: **JERZY DOŁĘGOWSKI** (przewodniczący ZW ZMW): — W Łomżyńskim jest około 8 tysięcy inwalidów, a z rent inwalidzkich I i II stopnia korzysta tylko 407 osób. Wiele kalek żyje w koszmarnych warunkach, często mieszkają wręcz w chlewach. W całym województwie są tylko 2 domy opieki społecznej: zakład dla niedorozwiniętych dziewcząt w Łomży i dom dla starców w Kozarzach (gm. Ciechanowiec) na 18 miejsc. Staramy się korzystać z domów opieki społecznej w innych województwach, co nie daje żadnych rezultatów, gdyż zakłady te są przepełnione. Planuje się budowę domu starców w Łomży (200 miejsc)

i w Zambrowie (100 miejsc), ale to jeszcze odległa perspektywa. Trudna sytuacja pogarsza fakt, że nie ma przepisów prawnych, które by zmuszały dzieci do opieki nad starymi rodzicami; **ROMAN ENGLER** (przewodniczący ZW ZSMP w Łomży): — Chcemy na koncie Komitetu zebrać pieniądze dla ludzi mieszkających w potwornych warunkach. Ci niepełnosprawni nie mają żadnych szans na zmianę mieszkania. Budownictwo kwaterunkowe wejdzie do planu za parę lat, z zakładowego nie mogą dostać, gdyż nie pracują, bo się do tego nie nadają. Zostaje więc spółdzielnia mieszkaniowa, ale na to z kolei nie mają pieniędzy z renty 2300 zł. Prezes WSM obiecał mi, że jeżeli zgromadzę dla tych ludzi pełny wkład na mieszkanie, dostaną je ze spółdzielczej puli przyspieszenia w przyszłym roku. Prezes jest w stanie uwzględnić w projektowaniu budynków specjalne podjazdy dla inwalidów, szerokie windy, poszerzone korytarze. Obiecuje też 50-procentową ulgę w opłacie czynszu. Musimy tę szansę wykorzystać. Moi pracownicy etatowi zadeklarowali już na ten cel 1 proc. miesięcznych poborów przez najbliższy rok; **JOZEF KULIK** (sekretarz WK FJN): — Pomocy inwalidom i niepełnosprawnym nie możemy traktować akcyjnie. Między narodowy Rok Pomocy Kalekom jest tylko poważnym sygnałem ostrzegawczym, że mamy do czynienia z niezwykle nagłym, ogromnym problemem [...] Nie ma zakładu pracy, który w taki czy inny sposób nie pomógłby inwalidom, ale nie ma w województwie koordynatora tych poczynań. Bywa więc tak, że

jedna osoba, sprytniejsza od innych otrzymuje pomoc od kilku instytucji, druga — nie dostaje jej wcale. Zwracam uwagę, że oddział łomżyński Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej przyjmuje wszelkie darowizny dla potrzebujących inwalidów i niepełnosprawnych, w tym prowadził odsprzedaż mebli po zniżonych cenach lub ich gratisowe przekazywanie. Z nowości warto odnotować, że powstał w Łomży, przy ul. 22 Lipca sklep z inwalidzkim sprzętem rehabilitacyjnym. Na podstawie lekarskich dyspozycji można w nim otrzymać bezpłatnie wiele środków i urządzeń ułatwiających życie.

ŁOMŻY GROZI kolejna awaria. W zbiorniku z chlorem powstała dziura. MKZ „Solidarność” podjął działania interwencyjne u władz. Przybyła grupa robocza, zabetonowała przeciek. Niebezpieczeństwo nadal istnieje, bo zbiorniki zamiast dwóch lat dożyły ośmiu. Nowe z Płocka mają dopiero nadejść. Nikt nie jest w stanie określić kiedy. Zanim dotrą, możemy już być w niebie przyzywanych nadmianem chloru.

MOST BYŁ za drogi, kładka za krótka, a helikoptera nikt nie chciał przydzielić. Co więc pozostało rolnikom ze wsi Rakowo Czachy w gminie Piątka, którym los dał łaki nie obok domu, a hen za rzeką? — Zbudować prom i z pompą dokonać jego wodowania, ku radości szczególnie rumaków, które nie muszą już z furami siana nadrabiać drogi. Ze obłą się to wszystko bez udziału koni — za to z tradycyjną flaszką szampa, utrwalił obiektywem Wojciech Surawski.



kopertowi odnowiciele

„Odpowiadając na pytanie towarzyszy Haliny Zielińskiej, dotyczące listy doradców byłego prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji tow. Mieczysław Moczar powiedział: »O-tóż, jak wspominałem, kontrola zakończona przed kilkoma dniami w radiu i telewizji stwierdziła, że niegospodarność kierownictwa tejże instytucji spowodowała, że roztrwoniono w pewnym sensie — bo wiele pozycji jest jeszcze do odratowania, a szczególnie inwestycyjnych —

roztrwoniono około 1 mld. 200 mln. Są tam pozycje interesujące, których teraz referować nie będę. Jeśli chodzi o listę doradców [...] to poszczególne osoby pobrały w okresie 1977—1980 następujące kwoty z funduszu tzw. nagród w formie miesięcznych ryczałtów oraz wypłat okolicznościowych tzw. kopertowych: Hanuszkiewicz — 210 tys., Holoubek — 240 tys., Łapicki — 240 tys., Swiderski — 250 tys., Warmiński — 250 tys., Antezak — 235 tys., Bardiński — 120 tys. (po półtora roku wycofał się z pobieranych pieniędzy), Zaczek — 414 tys., Fuksiewicz — 209 tys., Walter — 226 tys., Pas-sendorfer — 293 tys. złotych.« („Nowe Drogi” nr 5/6).

witaj nam zbawco

Ponieważ Rząd, jak do tej pory, ciągle ulegał pod naciskiem żądań — mamy teraz wiele papierów. To nic, że te pieniądze szły na lewo i prawo bez pokrycia, a skorzystali na tym najszybciej najsilniejsi, nie martwiąc się o słabych. O tych niech zamartwia się Rząd. Silni poczuł się jeszcze silniejsi. Wypełniali więc z koleżki słabszych i ustawili się w niej po raz drugi. Żeby chociaż ustawili się. Pchają się hurmem do Skarbu Państwa. Nic to, że w tłoku i tłumie zdeptana legła Sprawiedliwość. I co? Okazuje się, że skarbiec pusty. Pusty? Cóż z tego! Rząd ma! Odkrył to dla nas niedawno („Polityka” nr 28) „wybitny marksista” pan Zygmunt Szeliga. Przecież to państwo, a nie kto inny

dysponuje majątkiem ogólnonarodowym. Skoro nie ma towarów na rynku, niech wyprzeda fabryki! Będzie pokrycie pieniądza i sprawa załatwiona.

I tak wszystko pozostanie w narodzie, czyli w rodzinie. Czy nie będzie to własność społeczna, jeśli do spółki z kimś kupię sobie to i owo? Przecież to będzie kolektywne. To nie, że kto ma więcej forsy, kupi więcej. Jakaś sprawiedliwość musi być!

Towarzysze niedoli! Kto ze mną do spółki? Leśmy w kolejkę po kawałek łomżyńskiej „Bawelny” lub Huty Katowice!

(G. B. F.)

z konkursowej teki na „zdarzenie”

O MAŁEJ WSI liczącej ponad 20 domków mieszkalnych chciałam napisać.

Krzyżewo — to nie tylko miejsce pracy rolników, ale znajduje się tu również kuźnia kadr dla rolnictwa — Zespół Szkół Rolniczych. Dotychczas szkoła ta nie miała swojego imienia. Trwały spory w tej sprawie. Po kilkunastu latach, dzięki uślisnym staraniom, Zespół Szkół Rolniczych otrzymał imię Stefani Karłowicz, fundatorki tejże placówki naukowo-dydaktycznej. Zrezygnowała z uroków życia miejskiego na rzecz niesienia oświaty rolniczej. Sama czyniła starania o uzyskanie pozwolenia na budowę trzeciej w Polsce szkoły o tym profilu (wg danych dr. Gajdy z Brwinowa). Ze swoich własnych funduszy opłacała nauczycieli i fundowała stypendia uczniom.

24 czerwca odbyła się uroczystość, na którą wszyscy uczniowie, nauczyciele, rodzice i władze gminy czekali. Liczne zebrani goście i gospodarze zebrał się w sali gimnazystycznej, gdzie został odczytany akt nadania. Głos zabrali poszczególni przedstawiciele. Miała miejsce również prezentacja sztandaru oraz występ zespołu artystycznego.

Dalszym punktem uroczystości była prezentacja izby pamięci narodowej poświęconej fundatorce. Uczennice w kilku słowach starały się zaprezentować dorobek pani Karłowicz. W małej salce na jednej ze

ścian widniała panorama współczesnego Krzyżewa. Nad wspaniałym widokiem portrety rodziców patronki. Po przeciwległej stronie portrety Marii Skłodowskiej-Curie, Tadeusza Kościuszki itp.

W salce znajdują się rekwizyty: meble (w skład których wchodzi: 2 fotele, toaletka, szafa). Na biurku leży kronika, której ona była inicjatorką. W następnej klaso-pracowni zdjęcia z czasów wojny i okupacji, pamiątkowe listy pani Stefani.

Na zakończenie tejże uroczystości odbyło się odznaczenie dyrektora szkoły oraz jednej z nauczycielek.

Opisując to niecodzienne wydarzenie, chciałam sięgnąć myślą do czasów, w których żyjemy i zadać pytanie — ile takich postaci możemy spotkać? Który z pracowników oświaty zdecydowałby się wznieść „swoimi” siłami budynek szkoły, dać datki pieniężne uczniom (w formie stypendium).

Pragnę zaznaczyć, iż uroczystości takich na terenie naszego kraju jest wiele, ale dla mieszkańców tego rejonu jest to wydarzenie niecodzienne. Tym bardziej, że dotychczas szkoły otrzymywały imiona „Wielkich Ludzi” — ale niejednokrotnie mało związanych z danym rejonem. Natomiast myślę, że imię i nazwisko tejże kobiety zostało trafnie wybrane i z tego jesteśmy dumni.

ELŻBIETA CZAJKOWSKA

W Urzędzie Rady Ministrów pełniłem najczęściej dyżur dzienny. Przez mój pokój przechodzili wszyscy, którzy mieli cokolwiek do premiera. Szary lupek i Wąsni. Wielcy, Prominentni.

W Bierucie, prostym w obejściu, cichym i skromnym, było coś ojcowskiego: kiwnięcie głową, spojrzenie, sposób mówienia. Budził szacunek, poczucie nieśmiałości i spokoju.

Niezwykle chudy, wysoki i usztywniony Cyrankiewicz robił wrażenie gracza. Gracz ma cel i byle czym się nie przejmując. W jego zasięgu zdawały się więc być sprawy jedynie niezmiernie wagi.

Berman wzniewał niepokój. Nigdy, zdało się, niczego nie załatwiał, a wiecznie snuł się po Urzędzie; tajemniczy, milczący.

Najśmieszniejszą figurą był Stańczyk. Mały grubasek chodził, jakby się turlał i zawsze witał się ze mną: — Co słychać, generale? „Jestem porucznikiem” — odpowiadałem skromnie, wiedząc, że i bez tego doda zaraz: — Ale buława w plecaku, buława... Stańczyk zjawił się w Warszawie wraz z Mikołajczykiem, gdy urzędowaliśmy jeszcze w gmachu DOKP. Ulice na tę wieść zalały tłumy, otoczyły budynek. Mikołajczyk — ociężały, jowalny — miał śmiesznie pulchne, malutkie palce i zawsze wilgotne dłonie.

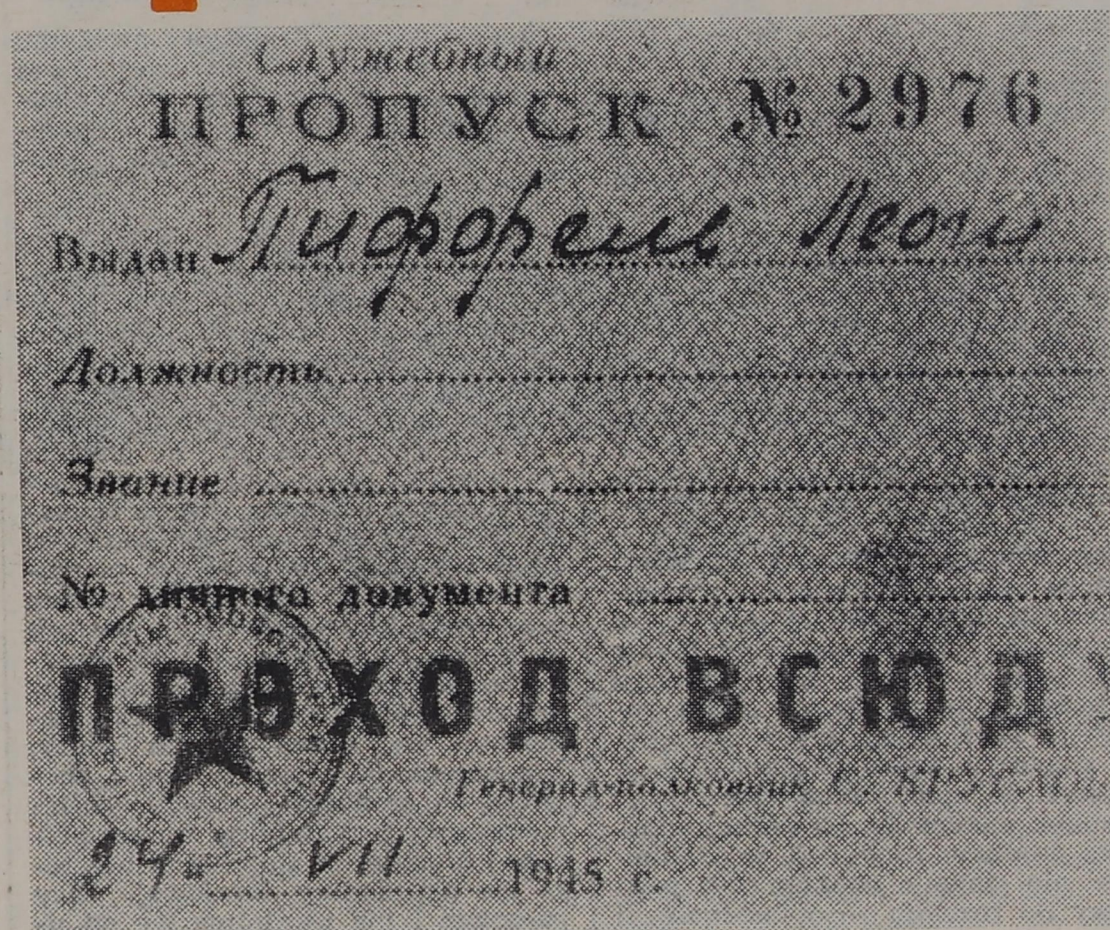
Któregoś dnia zatelefonował generał Rómmel. Zakomunikował, iż chciałby spotkać się z premierem, prosił o wyznaczenie terminu. Gości przyjmowaliśmy różnych, nieoficjalnym — bywało — wejściem, ale tu sanacyjny generał... Co robić? Przeprosiłem i połączyłem się z Osóbką. — Jest na linii? — zapytał — Więc przełączcie do mnie. Nie wiem o czym rozmawiali, dość że pod koniec premier polecił zanotować wizytę generała na dziesiątą w sobotę. Zapomniałem o sprawie, aż w sobotę patrzę — oficerowie, generalicja, minister Świerczewski; od bramy rozpostarty czerwony dywan. Choleś! Jeżeli każemy czekać staremu generałowi. Ale — oto i on, wysiada właśnie z taksówki. Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć buchnął marsz, a premier zakrzyknął: — Niech żyje bohaterski obrońca Warszawy, generał Rómmel! Niech żyje! Nie było żadnej pomyłki — pompę, z jaką przyjmowało się oficjalnych przedstawicieli najważniejszych państw, premier polecił przygotować na cześć generała. Osóбка, który nie znośił alkoholu i ciągle mało było mu pracy, ulotnił się szybko. Świerczewski, który z kolei nie pił niczego poza polską czystą, zaintonował wkrótce jurno-żołnierską pieśń i zniknął wraz z wyszlifowanym bractwem w sąsiednim pokoju. Szczęśliwego Rómmela zatrzymały kobiety. Kiedy chwiejący się lekko wychodził z jedną z nich z Urzędu zadysponował ze zgola przedwojenną galanterią: — Najpierw damy. Na miejscu, nim zdołałem zapytać, gdzie życzy podwieźć siebie, w młodzieńczych podskokach zniknął wraz z nią za drzwiami.

Codziennie rano, gdy obejmowałem służbę, meldowałem się w apartamencie premiera, aby zejść z nim do jego gabinetu. Dzień 24 lipca 1945 roku zapowiadał się nudnawo; ot, warowanie obok, pod ręką, jakiś telefon, rozmowa. Tymczasem Osóбка powitał mnie niekonwencjonalnie: — Przygotujcie jakąś koszulę, zabierzcie coś do golenia, za pół godziny lećmy do Poczdamu. Premier nie lubił tłumaczyć: po co, dlaczego, jak, z kim. Za nadmierną ciekawość opeer w nie najprzyjemniejszej pozycji. Tu jednak gryzłem się w język. Poczdam? Co człowiek wiedział o Poczdamie?

Przed południem samochody pomknęły w kierunku Okęcia. Samolot grzał już silniki. Wsiadaliśmy w pośpiechu — Bolesław Bierut, Edward Osóбка-Morawski, Stanisław



cień premiera



Grabski, Władysław Gomułka, Stanisław Mikołajczyk, Wincenty Rykowski, Michał Rola-Zymierski, kilku jeszcze ministrów, ochrona i Wiselka, choć oficjalnie nie było o tym później słowa wzmianki. Na podberlińskim lotnisku czekały już na nas radzieckie samochody. Do Poczdamu było stąd jeszcze prawie trzydzieści kilometrów. Takiego widowiska, jak w czasie tej drogi nie widziałem już nigdy potem: na całym odcinku, po jednej i po drugiej stronie, w odległości co pięćdziesiąt metrów — radzieccy żołnierze z bronią gotową do strzału. Do samej willi barona von Hackena, w której nas zakwaterowano. Na stołach w jadalni zastaliśmy jeszcze prawie nieostygłe posiłki. W salonie ciężki, potężny kredens ugiął się od czekolad, pomarańcz i papierosów. Niemców wykwaterowano stąd tego samego dnia. Kiedy nadeszła pora posiłku poleciłem kelnerom, by nam — ochronie, nakryto w sąsiednim pokoju. W tym momencie wszedł marszałek Zymierski i przerywając mi w pół słowa powiedział: — Jesteśmy na obczyźnie, poruczniku, będziemy więc razem. Marszałek zawsze zresztą był bardzo bezpośredni i nigdy nie pozował na wielkiego wodza. Bardzo go lubilem.

Na drugi dzień po przyjeździe pojechaliśmy do pałacu „Cecilienhof”, w którym od 17 lipca debatowała Wielka Trójka. Choć moja służbowa przepustka podpisana przez generała S. Krugłowa zezwalała na „prochod wsiudu” (przejście wszędzie), zostawałem w samochodzie. Pozwoliło mi to widzieć wjazd Stalina i Trumana. Stalin, monumentalny, posagowy na plakatach nie był wcale

wysoki; w Warszawie opowiadano sobie wręcz dowcipy: jak stawia mu się za mównicę stół, by dobrze mógł walić pięścią w blat. W Poczdamie pojawiał się również z ochroną; cicho, bez rozgłosu i zaraz zniknął w potężnych drzwiach pałacu. Trumana poprzedzał natomiast potężny ryk motocyklowych silników, gęsty szpaler MP, w środku którego prezydent w jasnym garniturze i z fantazyjną, barwną, dużą, kowbojską chustą w kieszeni, witał patrzących. Wartę wokół gmachu pełnili wszyscy „sprzymierzeni”. Wśród nich przekomiczne wrażenie — ze swoją musztrą: kilka kroków w przód, w tył zwrot, znowu kilka kroków i tak dalej bez drgnięcia powieki — sprawiali Anglicy.

Uliczki Poczdamu nie były zniszczone i można było swobodnie poruszać się samochodem. Wokół potężnego pałacu Sanssouci, otoczonego przepięknym parkiem, szosa była jednak tak pofałdowana, że przy większej prędkości samochód zdawał się wzbijać na każdym wzniesieniu w powietrze. Premiera i Wiselkę rozbawiło to do tego stopnia, że objechaliśmy cały zespół kilkanaście razy. Na podobne zabawy niewiele jednak było czasu. Byliśmy tam w końcu delegacją spoczywała niemała sprawa — walka o kształt naszych granic.

W dzień wyjazdu generał Krugłow przekazał dla każdego pięknie zapakowaną paczkę. „Podarok”. Na drogę. Gdy tylko wystartowaliśmy ciekawość nie dawała mi spokoju. W końcu nie wytrzymałem, otworzyłem, a tam... kanapki, woda mineral-

na, pomarańcze. W Warszawie zaprosiłem więc kolegów na kolację. Taka była moja osobista korzyść z Poczdamu.

Scenariusz podróży po kraju był trochę inny. Najczęściej wyglądało to tak: Wzywał mnie premier i komunikował: — Proszę się przygotować, za kwadrans wyruszamy. Sprowadzałem wówczas rządowe samochody i zazwyczaj przy wozie dowiadywałem się — dokąd i jaką trasą. W jednym z trzech jednakowych „Chewroletów” zasiadał premier. W drodze przetasowywało się jego samochód w kolumnie, następowała zmiana wcześniej ustalonej trasy. W teren, uznany ze szczególnie niebezpieczny, wyjeżdżał cały pluton. Wszyscy cieszyć się musieli bezgranicznym zaufaniem premiera. Ja też wcześniej nie tylko handlowałem bimbrem. Ten dokument wypisał premier własnoręcznie: „Oświadczam, że Leon Pyffel z Warszawy, ur. 28.4.1917 r. był działaczem RPPS (i „Polskich Socjalistów”) i należał do b. zaufanych osób KC RPPS, między innymi przywódcy RPPS Stanisław Chudoba i Edward Osóбка ukrywali się dłuższy czas w jego mieszkaniu w Warszawie na Powiślu (ul. Bednarska). Leon Pyffel także zdobył dla Polskich Socjalistów pierwszą drukarnię, na której drukowano „Barykadę Wolności” [...]”

Wielu chłopców ściągnął Osóбка ze swojej rodzinnej wsi. I oni i ja nie umieliśmy wiele, ale każdy z nas był najpewniejszym z pewnych. Inna rzecz, że każdy z nas był pod ciągłą, ścisłą obserwacją innych pewnych.

W terenie należało zabezpieczyć mieszkania, ustalić wszystkie drogi przejazdowe, w ostatniej chwili poinformować miejscowe władze bezpieczeństwa.

Na przełomie czterdziestego piątego, szóstego roku objechaliśmy — od Wałbrzycha, Jeleniej Góry, Wrocławia po Szczecin — całe Ziemie Odzyskane. Wszędzie wspaniałe pola, ugory, wille, gospodarstwa, maszyny, meble. Wszędzie też wiecie, tłumy ludzi, przyjęcia. Premier nie lubił kryć się za nami. Za nachalstwo, jakie uprawiał goryl Gierka, Osóбка wyrzuciłby każdego na zbity pysk. Choć wówczas każdy w tłumie mógł mieć w kieszeni spluwę.

We Wrocławiu zatrzymaliśmy się w hotelu „Monopol”. Już w pierwszą noc — tego niech pan nie pisze — wybuchła awantura, za którą długo potem stałem na baczności przed premierem. Moi chłopcy rozbili potężną szafę, pełną — o czym nikt nie miał pojęcia — srebra. Po żołnierskim „upominku” wszystko, na szczęście, się znalazło. Przed wyjazdem przyszło ich jednak kilku i proszą, by zezwolić im trochę poszabrować. Napatrzyli się na tyle dobra, a w Warszawie nie bardzo mieli na czym spać. Spiorunowałem ich, lecz po namyśle poszedłem do wojewody i mówię, co i jak. Pod okiem swojego kwaterymistrza wypuścił nas na miasto. Cóż, człowiek miał dwadzieścia dwa lata; spodobały mi się dwa landszafty i to była cała moja poniećka zdobycz.

Wkrótce po powrocie z objazdu zachorowałem na Bergera. Premier zapiekirował się mną po ojcowsku. Zajątrzył w pięć tysięcy rubli i wysłał do Moskwy. Odszedłem z ochrony, ale i jego pieniądze były już policzone. Gdy podsumowano mu rachunek, nie zapomniano również o jego ludziach. Aby otrzymać po zdemobilizowaniu pracę pisałem do ponad stu pięćdziesięciu zakładów, instytucji, urzędów. Dla odmowy wystarczyła wszędzie odręczna adnotacja na moich aktach: „zaufany b. premiera Osóbki”.

W ciężkich czasach myślałem później niekiedy: mogłem mieć z jeden „pieniężny krzyż”, wille... Czy mam? Owszem. Mieszkanie w bloku. I czyste ręce.

WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. Archiwum



Pragnę skoncentrować uwagę na trzech grupach problemów: polityki rolnej, struktury nakładów inwestycyjnych w całej gospodarce narodowej oraz rozwoju samorządności w ogóle, a wiejskiej w szczególności. Zarówno w ogólnospołecznej dyskusji, jak też przyjmowanych dokumentach o charakterze politycznym rolnictwu, polityce rolnej i perspek-

figa bez maku

PROF. DR HAB. FRANCISZEK KOLBUSZ,
AKADEMIA ROLNICZA W KRAKOWIE

gospodarczej w ogóle, w tym i rolnej. Dlatego tak mocno podnoszony jest obecnie problem roli klasy chłopskiej w życiu kraju i społeczeństwa. Na tym tle rodzą się nowe formy samorządności wsi, tendencje do zrzeszania się rolników indywidualnych w niezależny związek zawodowy. Głównym celem programowej



tywom poprawy wyżywienia naszego społeczeństwa poświęca się bardzo dużo uwagi. Wypowiadane są bardzo różne poglądy, od skrajnie pesymistycznych po nadzwyczaj optymistyczne, wychodzące tak od wysokiej klasy specjalistów, znanych polityków, jak też prostych ludzi, producentów lub konsumentów żywności. Tak duże ożywienie na ten problem bytowych ludności ma głębokie uzasadnienie: każdemu człowiekowi do życia jest niezbędna żywność, odzież i kąt do zamieszkania, a z drugiej strony, wynika to z rozgoryczenia spowodowanego nie tylko brakiem elementarnych warunków bytowania, ale i tym, że po ponad 36 latach intensywnego rozwoju kraju, dokonanego wysiłkiem całego społeczeństwa, kosztem wielu jego wyrzeczeń, taka sytuacja zaistniała.

Zaczynam od tych zagadnień celowo, aby uzmysłowić, że w pierwszej kolejności naszemu krajowi jest potrzebna mądra, przemyślana, perspektywiczna polityka rolna oraz konsekwentne jej przestrzeganie. Nie może być tak, jak do tej pory: polityka od ekipy do ekipy, z lepszymi lub gorszymi poprawkami nanoszonymi przez poszczególne decyzje władz politycznych. Oceniając politykę rolną od tej strony można powiedzieć, że jej nie było. Jeśli bowiem wzrastała produkcja rolnicza, a więc rolnicy podnosili plony, zwiększali pogłowie zwierząt, sklepy były zapelnione żywnością, to zaraz opracowywano i wcielano w życie kolejne programy „socjalistycznej przebudowy rolnictwa”, co nie oznaczało nic innego, jak odwrót od popierania rozwoju indywidualnej gospodarki chłopskiej. To przecież właśnie autentyczne sukcesy polskiego rolnictwa, a chłopskiego w szczególności, w latach 1971-1974 samouspokoiły władzę i „stworzyły” przesłanki społecznej rekonstrukcji chłopskiego rolnictwa.

Polityka rolna musi stworzyć autentyczne, a nie pozorowane podstawy stabilności dla całego rolnictwa. Nie chodzi tylko o zabezpieczenie prawa do indywidualnej własności środków produkcji, o czym mówi się obecnie najczęściej. Producent musi posiadać ekonomiczne, prawne i polityczne gwarancje dla swojego trudu, zawodu, posiadanego warsztatu wytwórczego i sprawiedliwego udziału w podziale dóbr materialnych i kulturalnych — w skali całego społeczeństwa. Wybór zaś drogi rozwojowo-ustrojowej musi podejmować z własnej inicjatywy, bez jakiegokolwiek nacisku władzy.

Niezależnie jednak od przeobrażeń ustrojowych polskiego rolnictwa, sprawą zasadniczą jest pełne pokry-

wanie jego potrzeb na środki produkcji. Jeśli dość często czytamy różne biadolenia na temat ujemnych skutków tak zwanego wyludnienia wsi, to nie możemy zapominać, że nadal mamy w kraju 25 osób zawodowo czynnych na każde 100 ha powierzchni użytków rolnych, co oznacza jeden z najwyższych wskaźników zatrudnienia wśród krajów europejskich! Skąd więc to narzekanie? Uzasadnienie wynika z faktu, że ubytkowi siły roboczej nie towarzyszyło, i nie towarzyszy nadal, co najmniej proporcjonalne jej zastępowanie przemysłowymi środkami produkcji.

Pewnego rodzaju anomalią jest fakt, że mimo tak znacznego zmniejszenia się ilości zatrudnionych w rolnictwie, praktycznie rzecz biorąc struktura obszarowa indywidualnej gospodarki chłopskiej nie uległa poprawie. To znaczy, że nie usunęliśmy przyczyn, które ją zamroziły. A zaliczyć do nich trzeba nie tylko stosunek władzy do prywatnej własności środków produkcji w rolnictwie, ale głównie ekonomiczne podstawy do rozwoju — opłacalność i możliwość zaopatrzenia się w artykuły przemysłowe, potrzebne dla produkcji. Praktyka życia codziennego pokazuje, że na razie mimo hasła typu „zielone światło dla rolnictwa” w sferze przemysłowych środków produkcji — sytuacja ulega pogorszeniu, a nie poprawie. Faktycznie zmieniono korzystnie ceny skupu ważniejszych produktów rolniczych. Ale ceny to tylko stymulator w ożywieniu produkcji. Natomiast rzeczywista stabilność trendów rozwojowych może być uzyskana tylko w warunkach rozszerzenia strumienia przemysłowych środków produkcji skierowanych na wieś. To warunek zakończenia odpływu aktywnej zawodowo części przyrostu naturalnego ludności wiejskiej oraz korzystnych zmian w strukturze obszarowej gospodarki chłopskiej. Jest ona zarazem niezbędna dla poprawy warunków socjalno-bytowych całej ludności chłopskiej. Żadna bowiem polityka rolna nie zabezpieczy w skali masowej dobrobytu rodzinie chłopskiej, utrzymującej się z pracy w tradycyjnie prowadzonym 2-3 hektarowym gospodarstwie. Obecnie coraz częściej mówi się o konieczności zmniejszania zatrudnienia w przemyśle — zwolnienia pewnej liczby pracowników, zwłaszcza rekrutujących się z gospodarstw indywidualnych. Nikt natomiast nie bierze pod uwagę, że trzeba raczej umożliwić zakup środków produkcji, bowiem najczęściej są to gospodarstwa bez własnej siły pociągowej i odpowiedniego sprzętu. W przeciwnym wypadku narastać będzie niezadowolone społeczne oraz „podporządkowanie” gospodarstw słabszych ekonomicznie (i to często nie z własnej woli) gospodarstwom mocniejszym, wyposażonym w odpowiednią ilość środków produkcji. I tutaj do-

chodzimy do drugiego problemu struktury nakładów w gospodarce narodowej, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju tych gałęzi przemysłu, które służą rolnictwu i gospodarce żywnościowej.

Informacje, jakie docierają do społeczeństwa, a także stan zaspokojenia codziennych potrzeb każdego z nas dobitnie świadczy o głębokim kryzysie ekonomicznym, jakim objęta jest cała narodowa ekonomika. Rzutować to będzie także na tempo rozwoju gospodarczego, a głównie na wielkość inwestycji w okresie najbliższych kilku, a nawet kilkunastu lat. Niemniej jednak zarówno społeczeństwo, jak i władze powinny mieć świadomość, że te gałęzie przemysłu, które pracują dla potrzeb rolnictwa muszą rozwijać się dynamicznie. Bez dostatecznej ilości ciągników i narzędzi uprawowych nieosiągalna jest dobra uprawa gleby, bez nawożenia mineralnego i chemicznych środków ochrony roślin niemożliwy jest stabilny wzrost plonów i globalnych zbiorów, a bez tego nie poprawimy krajowej bazy paszowej i nie uwolnimy się od uciążliwego importu zbóż i pasz. Tutaj potrzebny jest gospodarski rozsądek i mądra polityka gospodarcza. Przecież nasze dotychczasowe zadłużenie, głównie w USA z tytułu importu zboża i pasz, oceniane jest na około 6 miliardów dolarów!

Gdybyśmy tę kwotę zainwestowali w przemysł wytwarzający środki produkcji dla rolnictwa i utrzymali aktywną politykę cenową, byłoby obecnie eksporterem nadwyżek żywnościowych na rynki światowe, a nie krajem niemal żebrzącym o żywność u innych. Jak do tej pory jednak wszystko sprowadzało się do obietnic. Rezultaty: brak nie tylko ciągników, ale i najprostszych maszyn i narzędzi, opału, nawozów mineralnych, nie mówiąc o chemicznych środkach ochrony roślin.

Liczenie tylko na pracowitość i zaradność polskiego rolnika nie przyniesie rezultatów w postaci wzrostu produkcji rolniczej. A jego czas nie może być nadal tracony w kolejkach w oczekiwaniu na niezbędne dla jego potrzeb środki produkcji. Służą one nam wszystkim, bowiem dzisiaj liczy się każdy kwintal zboża czy ziemniaków. Każdy litr mleka czy kilogram mięsa. Decydenci w sprawach gospodarczych muszą wiedzieć, że chłop w siermiedze, przepasany postronkiem i obrabiający pole ręcznie należy do historycznej przeszłości. Wymaga nowoczesnych środków produkcji, gdyż ma świadomość, że w uprzedmiotowieniu kraju wniósł wielki niepodważalny wkład. Postęp zaś w samym rolnictwie, aczkolwiek miał miejsce, był i jest nieadekwatny do ogólnego rozwoju gospodarczego. Rolnictwo, a głównie ludność rolnicza miała nieznaczny tylko wpływ na realizację polityki

działalności organizacji samorządnych jest troska o interesy rolnika nie tylko w sferze ekonomicznej, ale także społeczno-politycznej. Rodzi się pytanie: jak to się stało, że rolnicy uznają za konieczną potrzebę takiego zrzeszenia się. Odpowiedź nie jest ani prosta, ani łatwa. Musi uwzględnić cały splot przyczyn ekonomicznych, politycznych, organizacyjno-prawnych i społeczno-moralnych. W skrócie można powiedzieć, że w sferze ekonomicznej chodzi o uwzględnienie interesów rolnictwa i ludności wiejskiej odpowiednio do jej wysiłku na rzecz rozwoju rolnictwa, które służy przecież całemu krajowi. Do tej pory interesy te były w sposób rażąco lekceważone. A przecież historia uczy, że nie ma zamożności kraju bez dobrze rozwiniętego, nowoczesnego rolnictwa. Nie negując wiodącej roli przemysłu w rozwoju gospodarczym kraju, nie można obojętnie przechodzić obok zagadnienia, komu on ma służyć. W pierwszej kolejności społeczeństwu i musi być dostosowany do strukturalnych potrzeb całej gospodarki narodowej. A tymczasem za dziesiątki miliardów złotych rozwijamy produkcję kolorowych telewizorów, przy jednoczesnym braku widelczy łańcuchów do wiązania zwierząt.

Mimo wielu decyzji ani PZPR wespół z ZSL, ani ogólna władza państwowa nie zabezpieczyły skutecznej kontroli realizacji podejmowanych w tych sprawach decyzji. Dlatego też kontrolę tę musi sprawować sama społeczność wiejska zorganizowana w różnych społeczno-zawodowych organizacjach. Kiedy jednak mowa o samorządności, to zarówno ze strony władz i działających organizacji społeczno-gospodarczych, społeczno-zawodowych muszą być przestrzegane zasady praworządności, bowiem w przeciwnym wypadku może dochodzić do niepotrzebnego skłócenia wsi, ze szkodą dla niej samej. Chodzi o to, że nowe organizacje nie powstają na pustym polu. Na wsi i w rolnictwie działa samorząd terytorialny, samorządy spółdzielcze, które swoją uwagę skupiają także na trosce o zabezpieczenie interesów rolnictwa. Wszelkie te formy działania, lepsze czy gorsze, są wielką powszechną, szkołą demokracji socjalistycznej, której łamanie zrodziło w przeszłości wiele rozgoryczenia i spontanicznego sprzeciwu.

W tej właśnie odradzającej się demokracji leży główna szansa klasy chłopskiej, jako partnerskiej wobec klasy robotniczej, inteligencji i innych warstw społeczno-zawodowych. Patriotyzm, pracowitość, przywiązanie do ziemi ojczystej ludności chłopskiej stanowi najlepszą gwarancję jej rzetelnego udziału w dzieleniu losów całego społeczeństwa, współodpowiedzialności za jego wyżywienie.

Chyba jeszcze nigdy dotychczas nie było na wsi tyle miejsca dla organizacji młodzieżowych, co obecnie; tyle płaszczyzn do działania i współpracy; tyle do zrobienia. Na pewno przyciąga się środowisku wiejskiemu każdy sensowny program, i to nie jednej, jedynej organizacji, a nawet dziesięciu. Oby tylko był konsekwentnie realizowany — nie na zasadzie wzajemnego zwalczania się, ale wspólnej, rzetelnej pracy.

Wież ma dosyć kłopotów i waśni wynikających chociażby z „demokratycznego” podziału sprzętu; z zaopatrzenia się we wszystko, co niezbędne do życia i produkcji. Nie ma czasu podziwiać dwóch zwalczających się organizacji młodzieżowych. Jednak do niektórych członków ZSMP — trudno wiedzieć czemu — ta oczywista prawda dociera bardzo powoli.

A szkoda, bo jeśli młodzież ma tworzyć prawdziwy front naprawy Wiejskiej Rzeczypospolitej, to chociażby ze względu na obecne realia w rolnictwie musi on być silny, bo tylko w takiej postaci jest dla wsi przydatny.

Rolnik, a tym bardziej młody, przejmujący od rodziców gospodarstwo, często opuszczone i zaniedbane, nakłada na siebie chomąto do końca życia. Niech nawet dostanie kredyty, materiały na rozbudowę, sprzęt — wątpliwe, czy starczy mu lat, aby to wszystko spłacić. Lecz i ta, jakże trudna sytuacja, byłaby prawdziwym upojeniem dla każdego z nich. Musi przecież wydeptać jeszcze szeroką ścieżkę do gminy po każdą część do najprostszej maszyny, którą zakupił jeszcze jego ojciec czy dziadek. Wywalić każdą tonę węgla, worek paszy treściwej. Pytam: kiedy ma wypoczywać, uczyć się, myśleć o kulturze, sporcie? Zwróćmy uwagę, o czym mówi wieś. O najbardziej elementarnych sprawach: gdzie kupić chleb, zrealizować kartki na mięso i cukier. Nie mówiąc o piwie, oranżadzie czy dobrej wodzie mineralnej, przynajmniej na najcięższy okres prac polowych. Przestańmy mówić do chłopów językiem ekonomów, a zatroszczymy się raczej o niego jak o człowieka.

To dobrze, że władze miejskie pomyślały o zaopatrzeniu mieszkańców Łomży w chleb i ograniczyły jego sprzedaż w dni targowe. Jest to paradoks, że wieś musi zaopatrywać się w ten produkt w mieście, ale tak się dzieje nie z winy chłopów. Nie ma chleba w podłomżyńskich wsiach, więc jedzie do Łomży. Kupuje wtedy po pięć, a nawet po osiem bochenków; na zapas sobie i sąsiadom. Ponoć daje go świniom, bo wiele za niego nie płaci. Nie podzielał tych opinii i twierdzi, że są one dla chłopów ogromnie krzywdzące. On chleb wytwarza codziennie i jest bodaj jedynym, który zna jego autentyzm i wartość. To na wsi uczymy się słów: „kruszyne chleba podnoszę z ziemi przez uszanowanie”, jeszcze nie znając ich autora. W żadnym środowisku, a tym bardziej w mieście, nie spotkałem się z takim szacunkiem do „naszego powszedniego”, jak właśnie wśród chłopów.

Rozmawiałem z niektórymi. Powiedzieli: — My byśmy sami piekli chleb, gdyby było gdzie kupić drożdży. Czyż nie jest paradoksem radzenia nad programem odnowy wsi, kiedy coraz dotkliwiej zagląda jej w oczy brak chleba? Ruszmy choćby z miejsca sprawę drożdży. Niech piecze swój razowy i nie jeździ z torbami do miasta.

Do organizacji pragnącej nieść pomoc wsi należy, co mocno podkreśla ZMW, obrona godności chłopów. Znow miasto wygrywa w pojedynku ze wsią, i to w czasie, kiedy ponoć gorzej zielone światło dla rolnictwa. Chłop, żywiciel Narodu, oskarżony jest o marnowanie chleba! Pytam: — A kto wynosi chleb do miejskich śmietników? Przecież chłop w łomżyńskich blokach spółdzielczych nie mieszka.

Powtarzam: — Jeśli młodzież zrzeszona w swoich organizacjach, zwłaszcza w ZSMP i odradzającym się obecnie ZMW, pragnie naprawdę przyjąć wsi z pomocą, to tylko przez utworzenie wspólnego frontu działania. Wielu kolegów z ZSMP to rozumie i należy się tylko z tego cieszyć. Wiceprzewodniczący Zarządu Wojewódzkiego tej organizacji Edward Kapusta zmontował Radę Młodzieży Wiejskiej ZSMP. Na konferencji przedstawiła ona program, pod którym tylko się podpisać. I kina objaz-

dowe; i stypendia dla studiujących rolników, a prowadzących jednocześnie gospodarstwa indywidualne; walka o przedstawicielstwa w Gminnych Związkach Kółek i Organizacji Rolniczych; przymiarka do raportu, o stanie młodych rolników w województwie.

ZMW stawia na więź międzypokoleniową, tradycję wiejskiego ruchu młodzieżowego; wskrzesza ideę Towarzystw Uniwersytetów Ludowych; pragnie budować program złożony z małych, codziennych, kłopotliwych spraw, specyficznych dla każdego koła. Odwołuje się do starych, sprawdzonych haseł: „Koło ZMW kołem przyjaciół”, „Každy kłós na wagę złota”. Wraca do współpracy z LZS-ami, troszczy się o rozwój kultury ludowej. W owym budzeniu wsi i jej autentycznych samorodnych aspiracji jest także miejsce na powoła-

oficjalnych deklaracji współpracy, nawet pomocy, próbuje z igły zrobić widły, i to już od samego początku powstawania ZMW.

W Mystkach Rzym, gdzie tworzyło się koło tej organizacji jedno z pierwszych w województwie przyjechało późnym wieczorem działacze ZSMP z zapytaniem: „Czego chcecie? Co was boli?” Obiecali sprzęt, ciągniki, aby tylko „nie wygłupiali się”. Podobnie było w innych wsiach. Te próby powstrzymywania przed wygłupianiem się nie były takie straszne, czy też na tyle skuteczne, bo koła ZMW w tych wsiach już działały.

Z przewodniczącym ZW ZSMP rozmawiałem wielokrotnie. Stwierdził: „Chciałbym, żeby tych kilka kół ZMW w naszym województwie było, ale niechże się tworzą tam, gdzie nie działa nasza organizacja”. Zabierając głos na I Wojewódzkim Zjeździe ZMW użył takich sformułowań: „Widziałbym...”, „Chciałbym, żeby...”. „Liczymy na to, że...”. Zawiera się w nich nadzieja na współpracę, ale i jednoznaczna wizja: „Zgadzą się z nami na współpracę, nawet będziemy was popierać, jeśli będziecie robić to, co przykażemy”. Inny członek ZSMP udzielił ZMW pierwszego

Wieś czeka na każdą parę rąk. Każde narzędzie pracy, nawet najbardziej klasyczne. Ale takie widły, jakich dostarczają niektórzy działacze ZSMP, niczego w łomżyńskim rolnictwie nie zmieniają. Wprawdzie nie gną się w rękę jak gwoździe i gdzie się je wbije, tam stoją, ale na tym ich zaleta się kończy. Tak są dziwnie wykręcone, że nie mają się ani słomy, ani gnoju.

Pomimo tych ładnych kolorowych widel, tu i ówdzie wetkniętych na sztorc, jakby dla oznakowania terenów szczególnie zagrożonych dla ZSMP, ZMW coraz dalej idzie w łomżyńską wieś. Gloryfikuje jej piękno, koncentruje swoje siły na polach zapomnianych, zarosniętych perzem i kwitnących chwastem. Na oświacie, kulturze, sporcie, kultywowaniu odwiecznych tradycji przywiązania polskiego chłopca do ziemi. Już w tej chwili opowiada się za dokonaniem zapisu w Konstytucji PRL, iż gospodarstwo indywidualne jest trwałym elementem ustroju socjalistycznego. Dla etatowców ZSMP, atakujących ZMW może jest to błahostka, lecz dla rolnika, zwłaszcza młodego, to sprawa ogromnie ważna. On musi być przekonany, że ziemia, którą uprawia, należy tylko do niego.

Przyznaję, że wśród zetemwuowskich głosów nie brakuje krytyki ruchu młodzieżowego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Zwłaszcza ZSMP, bo to przecież on działał na terenie łomżyńskiej wsi. Są to nieraz słowa ostre, spontaniczne, bo taki jest i cały ruch zetemwuowski. Nigdy zresztą następcy nie gaskali poprzedników, a ci drudzy, zwłaszcza bardziej konserwatywni, nie godzili się na istnienie, mogącego w każdej chwili urosnąć i im zagrozić, partnera.

W obecnej sytuacji organizacje młodzieżowe powstają jak przysłówowe grzyby po deszczu. W samym środowisku miejskim, wśród młodzieży robotniczej i szkolnej, działa Związek Młodzieży Socjalistycznej, Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej, Związek Młodzieży Demokratycznej. Jednakże trudno stwierdzić, czym to jest spowodowane, że jednostkowe i często niewyważone ataki ze strony ZSMP kierowane są wyłącznie w kierunku ZMW. Czy dlatego, że był on przed laty bardzo silną organizacją? Czy dlatego, że w niektórych wsiach, rzeczywiście, członkowie ZSMP zmieniają swoją przynależność i wstępują w szeregi ZMW?

Młody człowiek staje dziś przed autentycznym problemem wyboru. Wartość ta stanowi jedną z większych osiągnięć odnowy w ruchu młodzieżowym i tym bardziej powinna być uszanowana. Młodość jest jedna. Ideały te same, lecz drogi do ich ziszczenia mogą przecież być różne. Prawie do każdej łomżyńskiej wsi są one w kiepskim stanie, jednakowo trudne do przebycia dla ZMW, jak i ZSMP. Czy jest sens wyrwać z bruków ostatnie kamienie, by je w siebie ciskać?

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

pole



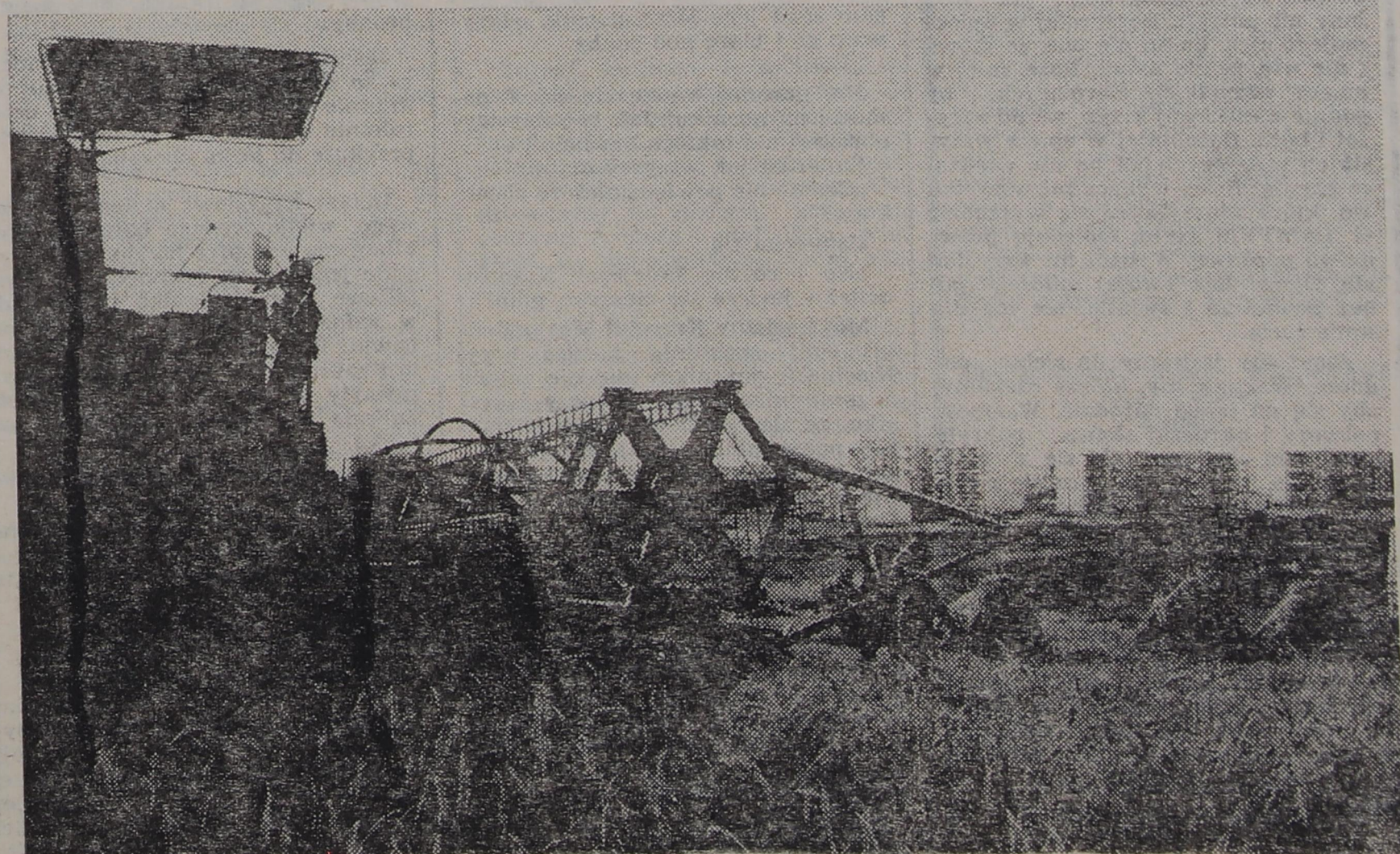
pełne widel

nie do życia w województwie łomżyńskim Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, zespołów amatorskich.

Nie trzeba długo studiować owych programów, aby przekonać się, że wzajemnie się uzupełniają. Czy jest wobec tego sens prowadzić walkę podjazdową, skoro ten sam cel, ta sama idea, ta sama płaszczyzna?

W ZSMP spotkałem się wielokrotnie z takim pytaniem: „A po co ZMW, jeśli my mamy taki sam program? To tylko rozbija ruch młodzieżowy”. Przypomina to żywo zasady, lansowane niegdyś: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam”. Chwilami jednak odnośnie wrażenie, jakoby jeszcze gdzieś gdzieś obowiązywały. Bo ktoś jednak, pomimo

przykazania: „Zejść na ziemię”. Jeszcze ZMW nie wzbil się tak wysoko jak ZSMP, a już co poniektórzy chcieliby widzieć jego ładowanie, jeśli nie lotniczą katastrofę. Zaś jego życzliwy szef dopowiedział pod adresem ZMW: „Dżentelmeni nie odwracają się plecami”. Właśnie, kto tu — jeśli już zabrzmiąły te wielkosalonowe słowa — odwrócił się plecami i ignoruje partnera? Nie jest to także postępowanie po chłopsku, bo ten, jak coś zasieje, to patrzy cierpliwie, co z tego wyrośnie. ZMW za ledwie postawiło pierwsze kroki, a już w szeregach jego sąsiada rozległ się chichot, na szczęście jednostkowy, że nie tędy droga i nie tak obrócone buty. Komu potrzebne są takie opinie: „Przybudówka ZSL”, „Co ten Świrgoń świrgoni”, „ZMW już się przeżył i nigdy nie powstanie”?



rolnictwo





LEKCJA.

TEMAT: Życie i budowa raka.

ŚRODOWISKO: wodne. Pokrycie ciała: pancerz chitynowy pełniący rolę szkieletu zewnętrznego. Części ciała: głowotulów, odwłok i odnóże różnicowane na czułki odbierające wrażenia słuchowe i wzrokowe, narządy gębowe do pobierania i rozdrabniania pokarmu, odnóże kroczne. Narządy oddechowe: skrzel. Układ krwionośny: otwarty. Układ pokarmowy: przelyk, żołądek i jelito zakończone otworem odbytowym. Rozmnażanie: płciowe. (Raki przechodzą linienie).

Chmury, granatowe jak górskie szczyty, rozsuwają się na boki poziomymi pasmami. Tuż nad horyzontem pojawia się bordowy, wąski pas, powoli rozszerzający się i nabierający coraz to żywszych kolorów. Widok to straszny, ale i zapierający dech. To jakby świat rozpękał się na dwoje. Na jaśniejszy z każdą chwilą błękit wpływają, zrazu nieśmiało i ostrożnie, a potem już hurmem, watahy szarych, pierzastych strzępów, omijających jednak z bojaźliwą czcią gorzejącą na wschodzie ranę, jak wilki omijają płonącą zagiew. Powoli krwista plama ustępuje łagodnym odcieniom cyndoru, pomarańczu i różu. Już jasno.

Już jasno. Przygrunty przymrozek troskliwie zajął się trawą, zao-ranymi polami i brukwią złożoną w pryzmy na stacjach. Smużki mgły otulają to wszystko szczerze, przesączają się przez liście drzew, szybą w przedziale i giną. Stacja Ziębice. Stoimy i stoimy. Czemu? Ludzie kochani, pospieszcie się, bo mnie ominie zaszczyt zobaczenia... No, nareszcie! Powoli, powoli, choć to przecież pośpieszny. Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Ziębicach. Tysiące oszronionych skrzynek...

Szare hordy rozwijały się gdzieś. Pierzchnęły przerażone hen, pod zachodni horyzont. Na ich miejsce napływają zastępy lekkich, jasnych „baranków”.

Jest! Jest nareszcie! Jest! Przeświecła teraz różowym poblaskiem stado maleńkich „baranków”. Nie mogę już patrzeć w jego twarz. Światło kluje źrenice, a potem zostaje w pamięci jako zielona plama z czerwono-czarnym pobrzeżem.

„Światło przyjdzie ze wschodu”. Czerwona fajerka, zrobiona jest ze szczerzego złota. Widać to. Tak niedawno jeszcze patrzyłam na nią śmiało, a teraz... Niewdzięczne jesteś, słońce. Czekalam na ciebie tak długo, a ty teraz chcesz najwyraźniej wypalić mi oczy.

Jakżeś piękny, kraju mój! Kraju Wisły i Bystrzycy, kraju importowanej rudy żelaza. Twoje jeziora jak lusterka porzucane w głębokiej trawie przez niewiadome ręce, twoje góry pachnące żywicznym halmiakiem, twoje kwiaty, Polsko, twoje kwiaty kwitnące pięknie, niż kwiaty całego świata. Nie oddam cię za wszystko, co posiada ludzkość, za ogrom uciech, jakie szykuje życie. Moja jesteś w burzy i słońcu, moja w dole i niedole. Jakież to szczęście tu się narodzić i tu życia dokonać.

Boże, miej w opiece moją matkę, bo ona kocha mnie tak, jak nikt inny nie potrafi. Boże, miej w opiece mojego ojca, bo on nie wie, co mówi, i nie wie, że źle mówi. Boże, miej w opiece wszystkich cierpiących, by godnie nieśli swój krzyż wśród zgryzot i bólu. Boże, miej w opiece wszystkich zadających ból, bo nie wiedzą, co czynią. Boże, wybacz mi wszystko złe, które zdarzyło mi się wyrządzić w TAMTYM życiu. Obiecuję prawdziwą poprawę. Wybacz mi wszystko złe, Ojciec! Bez Twojej miłości, jak bez powietrza i światła, nie ma dla mnie życia.

Jacyż my jesteśmy do siebie podobni. Wszyscy my, którzy czekamy, aby się na nowo narodzić. Wszyscy: potwory i okruszki słońca pokryte obmierzłą skorupą. „Co się z ciała narodziło, jest ciałem, a co się z ducha narodziło, jest duchem”. Ale nie tylko duch jest ważny. Nie wystarczy mieć kwiaty w sercu. Trzeba też być pięknym i to jest głupie.

Sala nr 44. Czwórka to mój szczególny numer, więc dwie czwórki to podwójne szczęście. Wszystkie łóżka zajęte oprócz jednego; wślizguję się pod koc i usiłuję zasnąć. Oby tylko Krzysiek znów nie zaczął szeleścić! Zamiast ceraty ma na łóżku przezroczysty celofan. Szeleści nim i coś mówi.

„Czego chcesz, Krzysiu?”
Cisza.

Muszę wsadzić iść do niego. Wylażę więc z wygrzanego barłogu i nie zakładając kapti, biegnę truchcikiem do jego łóżka. Boję się okropnie stanąć na pewną deskę, leżącą między łóżkiem a stołem, bo strasznie skrzypiąca i mogłabym pobudzić wszystkich.

„Czego, Krzysiu?”

Zamknął oczy.

„Nie udawaj, do licha ciężkiego, że śpisz, tylko odpowiadaj, jak się ciębie pytam. Co chcesz?”

Cisza.

„Pić?”

Kręci głową, że nie.

„To czego?”

„Siku”.

to, i żebyś nie wypróżniał się w pościel, bo na dyżurce nie mają już prześcieradeł i będziesz spał na tym, co sobie zafundował.

To jest liść. Listek.

Na górze różowo-zielony, a na spodniej stronie zielono-żółty.

Brzegi ma powycinane w drobniuskie ząbki: jeden duży, dziesięć mniejszych, jeden duży, dziesięć mniejszych...

Zaschnięte unerwienia są podobne białym nitczkom różnej grubości, rozpiętym na zielonożółto-brązowym skrawku materiału.

Jest cienki. Mogłabym zgnieść go bez zbytniego wysiłku. Nie, nie, nie.

modlitwa



O, mój Boże! To dopiero! Wyciągam spod jego łóżka nocnik, odkrywam go i biorę pod pachy.

„Boli!”

No, przecież muszę cię jakoś posadzić na nocniku! Jak ty sobie wyobrażasz coś takiego bez bólu?

Śmierdzi jak wszyscy diabli.

„Czemu nie powiedziałeś, że chcesz kupę?”

Uśmiecha się.

„No i co się śmiesz? Naszrodziłeś i jeszcze się cieszysz, głupi!”

Mój kochany Krzysiu! Mój maleńki! Śpij spokojnie każdej nocy. Niech Cię już nigdy nie nie zaboli, a mnie niech Bóg wybaczy wszystko, co złego o Tobie powiedziałam lub pomyślałam. Śpij, chłopczyku, śpij spokojnie do samego ranka. Niech senne mary nie przysiadają na Twym jasnym czołku. Niech Ci się przysni dom Twój w Radkowie i ojciec, którego ciało posiadasz, i matka, której krew, jak miód słodka, w Twoich żyłach płynie.

Kiedyś będziesz silnym mężczyzną. Silnym i pięknym. Będziesz miał dobrą, kochającą żonę i dwoje ślicznych dzieci. Być może przypomni ci się kiedyś dziewczyna, co onegdaj pomagała ci usadzić się na nocniku, a potem wycierała co trzeba.

Alé teraz śpij i pamiętaj, żebyś głośno wołał, jak Ci się będzie chcia-

zrobić tego. Jest taki mały i bezbronny.

Jeśli ktoś okradnie dorosłego, idzie za to do więzienia, a jeśli ktoś okradnie dziecko? Takie małe, czteroletnie dziecko i to do tego jeszcze przykute do łóżka choroba?

Dalam Krzysiuwi małego, gipsowego, wielkanocnego baranka. Zrobiłam mu w szafce porządek i wszystkie jego rzeczy upchnęłam w dwie foliowe torebki: jabłka i czekoladę w jedną, a w drugą wszystkie zabawki. Rano przyszła siostra Urszula i zabrała cały dobytek Krzysiuwi, zawarty w dwu moich torebkach. Zabrała też owego gipsowego baranka.

No i co robić? Jak jej to wszystko zabrać?

Z Krzysiuwych rzeczy zrobiono paczkę na bal z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka. I gdzie tu sprawiedliwość?

Ojciec nasz i mój, i twój, i wszystkich; któryś jest, albo, kto wie wcale, cię nie ma; w niebie i tylko tam, bo gdzieżby indziej;

święć się imię Twoje, nasze, wasze, niczyje;

przyjdź Królestwo Twoje, Duńskie, Hiszpańskie czy Norweskie;

bądź wola Twoja i Twoja tylko, bo czyjażby; jako w niebie tak i na ziemi nieszczejnej; chleba naszego (z rąk go sobie wyrrywamy); daj nam dzisiaj i kiedy tylko; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy po chwili znów zemsty chciwi; naszym winowajcom — draniom, chamom i swołoczom; i nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

„Obudź się, obudź! Już jesteś po zabiegu! Słyszysz? Słyszysz mnie? Oddychaj! Oddychaj!” — — — Jak ciężko. — — —

„Dobra, przeniesiemy ją razem z prześcieradłem. Hej-hop! Ojej! Ale fest dziewczyna! Trzeba ją ubrać.

W coś mnie ubierają. To chyba kurtka od piżamy. Czyżbym była naga? Och, jak ciężko! Jakaś olowiana cisza... Ja się muszę obudzić! Obudzić!

To już czwarty dzień. Dzień święty. Popatruję w lusterko. Nie, nie! Weale nie dlatego, że popadam w narcyzm, ale dlatego, że z mojego szanownego nosa ciągle coś leci. Le-ci i leci jak szlachcie na łopacie.

Pięknie wyglądam. Nie ma co: lewe oko jak po ciężkim pobiciu — zielonożółto-fioletowe, przechodzące w jakieś sympatyczne bordo. Na nosie kokardki. Dwie nylonowe nitki przechodzą przez skórę nosa i na jego grzbiecie są zawiązane, a pod to wszystko podłożone malutkie płóciennne ruloniki. Były jeszcze igielitowe rurki w dziurkach od nosa, ale wyciągnęły. Najbardziej interesująco wyglądam z profilu: ryba-kusza albo neandertalezyk. Jeszcze nigdy nie widziałam człowieka o tak pociesznym wyglądzie. Nosek, owszem, zgrabny, ale ta warga: opuchnięta do ostateczności.

Boże, jaka ja jestem głodna. Wizyty jeszcze nie było, więc śniadania tym bardziej. W ogóle to głupota trzymać tak chorego człowieka bez jedzenia. Budzą nas o siódmej, wizyta o ósmej, a śniadanie dopiero gdzieś o wpół do dziewiątej. W sumie to półtorej godziny bez jedzenia. Ludzie kochani, co wy!

„O, miłości moja!”

Dziękuję Ci za list. Pierwszy raz dostałam tak cudowny poemat. Myślę, że jak wrócisz, opowiesz mi jeszcze o swoim pobycie. Muszę Ci się przyznać, że nie wyobrażam sobie Ciebie innej i boję się trochę, nie wiem czego, ale się boję. To bardzo głupie, ale nie potrafię opisać tego, czego się lekam. Wspominałaś o książkach. Przyniosłam Ci do budy kryminal Mańki, ale Ciebie już nie było. Niedawno kupiłam w antykwariacie „Platynową jaszczurkę”. Oczywiście kryminal. Dość dobry, ale Mańki „Tajemnica „Elizabeth Arden” jest lepsza. Dłuższa. Przed chwilą słuchałam „Już tylko my” S. Krajewskiego, a teraz leci „Ballada o drodze” Majewskiej. Bardzo dobre piosenki. Ale wracając do kryminalów: no więc jak wrócisz, dam ci dwie książki. A jeśli chodzi o tę smutną książkę, to bardzo chętnie przeczytałam. Chciałabym mieć Twoje zdjęcie jeszcze sprzed operacji. Wracaj prędko! Chora jestem, gdy cię nie ma. Nie byłam dziś w budzie. Jutro również nie pójdę. Mam potworny katar, zatkanie uszy i boli mnie gardło. Więc leżę w łóżku i pekam z nudów. Przeczytałam już „Platynową jaszczurkę” i muszę czytać „Samotny biały żagiel”, ale nie chce mi się, podobno strasznie nudy. Miałam dziś śliczny sen. Śniło mi się, że zabijałam się w chłopaku, on we mnie też. To było na wczasach. Gdy mnie pocałował, obraziłam się. Cóż mam jeszcze Ci pisać, perło moja? Na tym kończę i czekam niecierpliwie na twój powrót. Całuję —

— Katarzyna”.

Czy można grać cisze? Na trąbce? Można. I to tak cudownie, że aż łyż stają w oczach. Przypomina się wszystko: rodzina, pies, wieczór spędzony w filharmonii, ognisko nad jeziorem... Cisza. Słodka cisza. I grają na trąbce. Tak pięknie grają. Tak pięknie... Cisza dzwoni, wklęca się gdzieś do głębi, przenika szare komórki, serce drży. Słabe serce.



kontakty kontaktów

Uspokajam się powoli. I znowu ta cisza. Z pamięci wynikają obrazy: zbieram jagody, poziomki, umazane twarze, lato pokazuje, jak się ścina drzewo rosnące na stoku, że potem zostaje takie mały pieniek. Było drzewo zielone, wysokie, a teraz nie ma niczego, tylko taki śmieszny, niski słupczek. Zieleni też można grać. Na syntezatorze. Zieleni. Taką zieloną zieleni, normalną. Uczuć nie można wyrazić słowami. Jedyne może ciszą i zielenią. No i myślą też. I trąbką.

One mi już grają na nerwach. One, a naprawdę — ona. Powiedziała „one”, bo jest ich właściwie dwie. Jedna leży na łóżku pod przeciwległą ścianą, a druga gdzieś piętro wyżej, na oddziale septycznym. Pierwsza to gaduła, jadaczka jej się nie zamyka, gada i gada, z przerwami tylko na jedzenie i spanie. Kiedy mówi, to w uszach zamykają mi się jakieś klapki i nie słyszę jej wcale. Lekceważę ją. Czytam lub otwieram okno i karmię ptaki, ale ona w ogóle nie zwraca na to uwagi i gędzi dalej. Ta druga ma na imię Jolka. Jolanta. Ohydne imię. Nienawidzę jej. Gdy tylko wejdzie do pokoju, ja wychodzę. Jest bezczelna, arogancka i despotyczna. Zniechęciłam ją już pierwszego dnia naszej znajomości. Przyszła z wizytą do mojej „papli”. Siedziała przy stole i sta-

dzi. Powiedział ktoś: „Patrzę na nie-mą prostytucję okien...”

Moje okno to zakonnica. To widać od razu, więc jestem pozbawiona wszelkich podejrzeń wobec niego. Zakonnica, sterana życiem siostra Miłosierdzia. Okno.

Biedna, ogromna góra tłuszczył! Płacę widząc twe szklane, przerażone oczy, poduszkę przesiąkającą krwią i twoje wielkie nagie ciało, złane potem. Jakże bym chciała ci pomóc! Łzy cisną się do oczu i gradem płyną po twarzy. Nie wolno mi płakać, bo i ty przecież nie płaczesz. Tam, na dole, czeka na mnie moja matka, ale ja muszę zostać tu, przy tobie. Jestem ci przecież potrzebna. Muszę zająć, czy nie przemógł ci opatrunek, czy śpisz spokojnie i czy czegoś ci nie potrzeba.

Sikorki przylatujące na moje okno nie są jeszcze na tyle głodne, by się nie bać człowieka. Cwaniary; masło to potrafią zeżreć, a chleba już nie ruszą. Zmieszałam okruszki i masło razem — niech jedzą wszystko, co im dam. Są piękne — czarny łebek z białymi „policzkami”, prążkowane skrzydełka i ogon, i śliczny zielono-żółty brzuszec z czarną pręgą, biegnącą od podgardla przez pierś i niknącą gdzieś przy nóżkach. Patrzę tak na nie i w myśli przeklinam Naturę — jednemu dała tyle wdzię-

Nie mogę spokojnie patrzeć, jak człowiek poniża człowieka, jak go upodla, jak miesza z błotem. Nie jest wtedy godny swego imienia, swojej dumnej nazwy, która jednak zobowiązuje. Człowiek człowiekowi człowiekiem. Człowiek. Człowiek? No właśnie.

Węch mam zupełnie do kitu, ale zdążyłam zauważyć, że goździki nie pachną. To smutne, ale ja tych kwiatów nie lubię. Stoja dwa różowe w butelce po śmietanie i patrzą w sufit. Do końca stać będą sztywno jak żołnierze na warcie. Żołnierzy też nie lubię. Brr... A zwłaszcza oficerów. Może różowe goździki są jak dwaj wysztafirowani, ale już nieco leciwi, oficerowie. Nie czuję do nich nic. Chyba tylko współczucie, bo będą je (ich?) musiała wyrzucić do śmieci. Oficerowie w stanie spoczynku, to brzmi tak samo, jak „goździki w koszu na odpadki”.

Śnieg wcale nie pada idealnie z góry na dół ani skośnie. On pada tak, jakby skręcał się w lej, coś jak trąba powietrzna. Po prostu spiralnie. Pada i pada bez końca. Sikorki przylatują gromadami po cztery, po pięć. Ale tylko sikorki. Może w tej okolicy w ogóle nie ma wróbli? Przypomina mi się taka piosenka. Taka jedna. „Był sobie grajek Her-cowicz, co serenady wciąż grał. Z

Zawsze czytam „Kontakty” z uwagą, ale szczególnie wnikliwie „studiowałem” artykuł D. i A. Wroniszewskich „Bez Pardonu” z Kolna, ponieważ chodziło w nim o moje rodzinne miasto. Trafili w dziesiątkę! i za to szczerze uznanie. Rzekniecie jest tak, jak wynika to z wywiadu — pogmatwały się kompetencje naszym władzom i biurokratom i nie robią nic, tylko rozsypują ten węzeł, a ludzie dalej czekają na załatwienie najprostszych spraw, albo przynajmniej na wiarygodną nadzieję, że nastąpi to w najbliższym czasie. Jedno mi się nie podobało, a mianowicie pytanie postawione przez dziennikarzy: „Jak to jest możliwe, żeby w momencie, kiedy nareszcie przywraca się radom narodowym należną im rangę, w Kolnie przewodniczącym Rady Narodowej uczyniono skompromitowanego w swej dotychczasowej działalności, byłego sekretarza KMG?” Dalej dowiadujemy się od tego „skompromitowanego”, że wyjaśnienie jego sprawy nie zostało jeszcze zakończone i nikt oficjalnie pana Skrodzkiego nie napiętnował. Dlaczego Redakcja ucieka się do takich chwytów? Uważam, że owszem, każdego złodzieja trzeba napiętnować, ale dopiero po, a nie przed dokładnym sprawdzeniem dowodów.

Czytelnik z Kolna
(Nazwisko do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: Istotnie pytanie to nie wypadło zbyt zrecznie. Cieszyć się tylko należy z tego, że nietakt został przez Czytelnika zauważony. Usprawiedliwieniem zaś, a przynajmniej wyjaśnieniem może być jedynie to, że w konwencji przyjętej dla wywiadów z cyklu „Bez Pardonu” dziennikarze przekazują po prostu pytania Czytelników.

☆

Ogłoszony przez Waszą Redakcję konkurs pn. „Zdarzenia” wychodzi naprzeciw inicjatywom niedostrzeganym, a znaczącym w całokształcie życia wsi lub miasta.

Wśród złożoności życia społeczno-gospodarczego, ogromu zadań gospodarczych ważne, owocujące sukcesem w przyszłości są działania wychowawcze wśród najmłodszych obywateli naszego kraju...

Organizacja tegorocznego wypo-czynku ruchów, harcerzy, młodzieży niezorganizowanej, ze względu na specyficzną sytuację naszego kraju jest nieco utrudniona. Więcej więc starań włożyliśmy w organizację wypo-czynku w miejscu zatrudnienia, umożliwiając rekompensowanie ogólnie znanych niedomogów przez udział w Nieobozowej Akcji Letniej, urządzając m.in. stanicę na osiedlu „Jantar”. O powodzeniu tego pomysłu musiałby powiedzieć sam dzieci, które już od pierwszych chwil jej istnienia z zainteresowaniem obserwowały takie „nowum”. Ile dostarczyły im przeżyć pierwsze noce przespane w namiocie. Jesteśmy przekonani, że inicjatywy podejmowane przez Związek Harcerstwa Polskiego w ramach NAL obfitują w ciekawe „zdarzenia”. Zapraszamy do kontaktów z instruktorami kierującymi akcją.

Chorągwiany Sztab Nieobozowej Akcji Letniej
Łomża

☆

Jest u nas sklep, w którym artykuły spożywcze i przemysłowe nabyć mogą jedynie znajomi sklepów. Widać to szczególnie, jak jest dostawa towaru. Parę tygodni temu przywieziono na przykład olej (widzieliśmy jak wypakowywano z samochodu), a w sklepie nie została sprzedana nawet jedna butelka. Podobnie było w ostatni piątek z proszkiem „bis”.

A. NIKIEL i dziewięć inicjałów mieszkańców wsi Zabiele-Zako-leń

IWONA SZYMAŃSKA
Szczecin
Fot. GABOR LÖRINCZY



wiałam pleciudze kabałę. Jolka stała nad nami, popatrzyła chwilę i poprosiła mnie, żebym jej pożyczyla kart, bo chciała zagrać z tamtą „w wojnę”. Dałam jej śmiejąc się w duchu, bo „wojna”, to nie gra dla takich koni jak one dwie. No, ale niech tam. Dałam jej. Dłuższą chwilę stała nade mną przetasowując talię w rękę, a potem powiedziała zupełnie spokojnie: „Spieprzaj z tego krzesła”.

Wstałam jak oblana wrzątkiem i zacisnąwszy zęby wybiegłam z sali. Okno ma twarz człowieka stera-nego codziennymi troskami. Okno patrzy i okno widzi. Jego czoło otwiera się i pochyla. Jego czoło podzielone jest na trzy części: dwie niemal kwadratowe i trzecią ogromnie wąską, leżącą pomiędzy tamtymi dwoma. Deski, a raczej wąskie listewki, ograniczające tę trzecią część, wyglądają jak dwie pionowe zmarszczki na czole okna. Może przez to właśnie okno wygląda na przemęczone? Okno ma brwi zmarszczone, zmrużone oczy. Może niedowidzi? Policzki okna są chłodne i pociągłe. Właściwie nie wiadomo, gdzie się kończy nos, a gdzie zaczynają usta. A może okno nie ma ust? Jest też judasz, ale judasz nie odgrywa tu większej roli. Po prostu jest i już. Okno patrzy i okno widzi, ale nie należy się obawiać, że powie cokolwiek. Okno nie mówi. I to chyba dlatego, że nie ma ust. Tak, nie ma ust, z tego wynika, że nie ma ust. Dziwne. Zawsze wydawało mi się, że okno powinno mieć usta. Ale nie ma, więc nie się na to nie pora-

ku, takiej sikorce na przykład, a człowiek jest taki brzydki... Ale jednak jesteśmy nieszczęśliwi: sikorka swoją urodą cieszy się tylko kilka lat, a potem czeźnie jak i wszystko inne, a ja do mojego końca czekać muszę z moją brzydotą lat najmniej siedemdziesiąt. Ale przecież ani ona, ani ja nie martwimy się swymi kłopotami. Ona jest szczęśliwa, bo da-no jej skrzydła, a ja, bo dano mi kartkę papieru i ogryziony ołówek do ręki.

Nie mogę patrzeć spokojnie, jak człowiek poniża człowieka, jak go upodla, miesza z błotem, a tamten płacze, albo zaciska zęby i pięści aż do bólu i tylko patrzy gdzieś, w jakiś punkt bliżej nie określony wzrokiem szaleńca. Coś się wtedy we mnie rozdiera jak zetłale płótno. Nie mogę patrzeć spokojnie. Chciałabym być z nim, pomóc mu jakoś. Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłam mała, bardzo bałam się zastrzyków, a raczej bólu, który miał mnie spotkać. Wtedy mama brała mnie za rękę i mocno ścisnęła. Mówiła, że ból przechodzi po części na nią. Tak samo ja teraz chciałabym chwycić tego cierpiącego nieszczęśliwca za rękę i dać mu tym do zrozumienia, że nie jest w swoim cierpieniu sam.

Dziś już wiem, że każdy, kto cierpi i rezygnuje ze wszystkiego, w jednej chwili jest moim bratem, jest do mnie podobny, a ja czuję to, co światli określili jako szczerze współczucie. Czy można współczuć zwierzęciu? Nie. Nad zwierzęciem się lituje. A człowiek? Człowiekowi się współczuje.

Szuberta on umiał zrobić, no cudo, no, istny czar. Melodie w dłoniach wrabiał, przekładał jak talię kart, dźwięk każdy palcami gładził i pieścił jak jakiś skarb”. Umielem tylko tyle. Słowa są pozmieniane, bo nie pamiętam dokładnie. Ale melodię pamiętam. I to jest ważne. Burczy mi w brzuchu.

Zegnaj, kochana Polanico! Czekam jedynie na zdjęcie szwów i do domu! Ale wcześniej jeszcze, to jest jutro, pojedę sobie do Kłodzka. A potem zapakuję się w pociąg sypialny i powrócę na stare śmiecie. Ależ dziewczyny się zdziwią, jak mnie zobaczą! A może i nie? Kto wie? Może się nie spodobam moim głis-tom?

Zegnaj, Polanico! Zegnajcie, niedosolone zupki, jedzone w pościechu, z obawy, by nie spóźnić się na opatrunek! Zegnajcie skrzypiące deski w podłodze! Zegnaj, zacinająca się szuflado szafka! Zegnaj, tynku odpadający z sufitu loggi! I ty, wózku żywieniowy, podzwaniający brudnymi talerzami, również żegnaj! I ty żegnaj... I ty... Mój chłopce z szarego mydła, nazwany Antkiem, i ty żegnaj też... Na zawsze...

Ja odchodzę. Muszę odejść. A wszyscy zostaniecie tu, cierpiąc wspólnie z tymi, którzy po to tu są, by cierpieć. Cierpiecie więc, skoro do tego zostaliście stworzeni...



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

O siódmej rano w Szpitalu Wojewódzkim, w tzw. pokoju sanitariuszy wita nas kilku zaspanych młodzińców, wyraźnie zaskoczonych wizytą. Dopiero po chwili przychodzą właściwi bohaterowie spektaklu — kierowcy Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego z dyrektorem Konradem Kamińskim na czele. W roli osamotnionej opozycji towarzyszy im Cecylia Czechowska, starsza pielęgniarka z oddziału pomocy doraźnej i Teresa Steckiewicz, pielęgniarka pogotowia, jednocześnie wiceprzewodnicząca ZOZ-owskiej „Solidarności”. Po najbardziej oczekiwanych przedstawicielach dyrekcji szpitala ani śladu. Zebrany nasuwa to natychmiast skojarzenie z doświadczeniami lat ubiegłych. A nie były one najlepsze. Wprawdzie konfliktów nie da się uniknąć nigdzie, ale tutaj żyje się z nimi prawie od samego początku. Nierozwiązane, traktowane przez byłą dyrekcję szpitala bardzo jednostronnie i chyba lekceważąco, z czasem zaogniły się w postaci wyraźnego antagonizmu między kierowcami a białym personelem.

Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego zajmuje się sprawami eksploatacji taboru, jego napraw, zatrudnianiem pracowników. Kierowcy oddelegowani są przez nią do pracy w szpitalu, Pogotowiu, Sanepidzie, Domu Pomocy Społecznej. Zgodnie z obowiązującym kodeksem pracy zakład, który ich przyjmuje powinien zapewnić im opiekę społeczną. Tymczasem WKTS na terenie województwa nie posiada ani jednego metra kwadratowego własnej powierzchni, nie licząc szpitala, gdzie wydzielone pomieszczenie dzieli z... karaluchami.

Problem braku kąta dotyczy również samochodów. Kiedy Białystok przekazywał dla województwa łomżyńskiego uprawnienia w zakresie transportu dał także pojazdy. W czasie, gdy organizowała się łomżyńska dyrekcja WKTS, samochody musiały garażować „pod chmurką”. I garażują tak nadal. Najgorzej jest zimą — w „erkach” zamarzają leki. Mówi się, że WKTS korzysta z bazy szpitalnej. Owszem, by były tam kiedyś garaże pogotowia, ale z czasem przerobiono je na magazyny, później dobudowano biura i warsztaty, a w tych przecież garażowa nie wolno. Dawniej pozostawał jeszcze teren podwórza szpitalnego. Ostatnią decyzją dyrekcji został on zamknięty dla samochodów Kolumny. Kierowcy, uwięzieni tą dyskryminacją, próbowali protestować, ale teraz odpadł im główny argument przetargowy. „Prywatne rancho”, jak je nazywali, zamknięte zostało także dla samochodów prywatnych (lekarzy). Demokratycznie. Tyle tylko, że problemu garażowania to nie rozwiązało.

Właściwie powinien to być konflikt wyłącznie między dyrekcjami szpitala i WKTS-u. Na tym się jednak nie kończy — kierowcy zawsze uważali lekarzy za grupę uprzywilejowaną; lekarze kierowców zaś... Różnie, zależnie od okoliczności. Problemy się mnożą; sprawy drobne urastają do poważnych; blache do drastycznych. Wszystko to na pewno nie sprzyja dobrej współpracy, a już chorzy muszą najwięcej.

Zebranie rozpoczyna się. Bez zagajek, przedstawiania programu, ustalania protokołanta. Dużo w pierwszych wypowiedziach chaosu, nieporadności; zdania i myśli rwą się, mieszają. Nie tylko z winy mówiących. Co jakiś czas dzwoni brzęczyk, któryś z kierowców zrywa się, wychodzi. Kolejne wezwania do chorego lub do wypadku. Drzwi skrzypią, przybyszą nowi zainteresowani. Pojawiają się także sprowadzeni przez panią Steckiewicz: dyrektor szpitala, dr Tadeusz Wierzbowski; kierownik działu pomocy doraźnej, dr Stanisław Kuc; dyrektor ekonomichy, Kazimierz Kopczewski. Chwilowe zamieszanie. Przybyli dziwią się. Nie nie wiedzieli o spotkaniu. Najbardziej zaskakuje ich obecność dziennikarzy. Po chwili kierowca Tadeusz Kulesza wraca do przerwanej myśli:

— Ja tu jestem najdłużej, ale takiego bałaganu, jak pamiętam — nie było. Białych murzynów z nas chcą zrobić. To nieprawda, że kierowcy odmawiają wnoszenia na oddział ciężko chorych.

Z drugiego kąta wtóruje Zbigniew Lichomski, od Sierpnia jeszcze bardziej aktywny i krytyczny:

— Miałem niedawno przykre zdarzenie w zakaźnym, z powodu któ-

rego obecna tu pani Czechowska napisała na mnie wielki raport. Zepsuła się winda i — jak zwykle — na nas spadło noszowanie. Zameldowałem o tym doktorowi Sękowi — powiedział, że go to nie obchodzi. Zwróciłem się do dyrektora Kopczewskiego — odpowiedział, że pieniądze za to nie bierze. Pomyślałem więc, że sprawne funkcjonowanie windy to nie jest też sprawa kierowcy i odmówiłem noszowania.

— Jest tak — uzupełnia inny — że często, gdy wniesiemy, mamy za to dodatkowe nieprzyjemności: Dali mi kartę, żeby zabrać chorego z oddziału. Znosimy go, a ten już prawie nieprzytomny. Zamiast więc do karetki, zabraliśmy go na izbę przyjęć. Zaczęło go tam reanimować. Potem lekarz z góry powiedział, że to już nie jego pacjent; a ten z dołu, że z nim nigdzie nie pojedzie. W końcu dostałem ochrzana za to, że go wziąłem z oddziału. Czy dlatego, że tak mi się podobało?

Sprawa noszowania była jedną z najżywiej dyskutowanych jesienią ubiegłego roku. W Kolnie konflikt na tym tle był tak ostry, że niewiele brakowało, aby doszło do strajku kierowców. Oweczesny dyrektor kolneńskiego ZOZ-u nie potrafił jakoś załagodzić sprawy. Teraz, gdy jest już uregulowana porozumieniem Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej z Ministerstwem Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych wiadomo, że kierowcy mają obowiązek noszowania jedynie między domem chorego, karetką i izbą przyjęć. Dlatego też stanowisko dyrektora Kamińskiego jest jednoznaczne:

— Nie ma mowy o noszowaniu po oddziałach. Wynika to zarówno z porozumienia, jak i z przepisów sanitarnych. W całym kraju kierowcy są od tego zwolnieni. Nie mogą robić w Łomży precedensu.

— Ależ panie dyrektorze, oni tu też nie noszą. — Cecylia Czechowska stara się minimalizować sprawę. — Jedynie w sporadycznych wypadkach, kiedy winda jest nieczynna.

Dalszych wyjaśnień nie udzieli, bo słowa giną w nagłej wrzawie, która opada natychmiast, kiedy chęć przemówienia manifestuje dyrektor Kopczewski:

— Winda bywa nieczynna. Wprawdzie kierownik warsztatu, pan Piaśnik ma uprawnienia konserwatorskie i rzetelnie z nich korzysta, ale jest katastrofa z częściami zamiennymi. Nie rozumiem jednak, dlaczego panowie kierowcy zgłaszają mi awarie dźwigu. To nie jest panów obowiązkiem, tylko pracowników izby przyjęć lub pana Piaśnika.

— Nie nasz obowiązek, ale nasz interes — replikują kierowcy. — Można by też ustalić, że winda nie jest do wożenia personelu na śniadania, obiady. Dźwig jest ciągle przeciążony, bo wchodzi do niego więcej osób niż można.

Dyrektor Kopczewski usiłuje zakończyć tę kwestię:

— Zatrudniliśmy nawet windziarke. Ona chyba jeszcze jest u nas na etacie. Nie zdaje jednak egzaminu, gdyż ma jedynie podstawowe wykształcenie. Zrobiliśmy jej kilkakrotnie szkolenie w obecności przedstawicieli administracji i białego personelu, ale bez efektów, a wręcz odwrotnie. Mimo tego podkreślam raz jeszcze: Dobry stan windy to moja sprawa. Nie chcę tu nikomu niczego ujmować.

Obecność dyrektora Kopczewskiego zmusza wprost do mówienia o sprawach socjalnych. Najbardziej denerwującą i żenującą jest sprawa ubikacji. Z rozrównaniem wspominają niektórzy dawne, dobre czasy toalety z trzema oczkami. Decyzję o zredukowaniu do jednego podjęła poprzednia dyrekcja za wiedzą dyrektora Bubenka z Sanepidu — trzeba było wygospodarować pokój na nocne dyżury lekarzy. Po zlikwidowaniu akcesoriów klozetowych i przystosowaniu pomieszczenia do nowych potrzeb okazało się, że przebywania w nim przez dłuższy czas już niemożliwe. Zapomniano o wspólnym z ubikacją wywietrzniku. Kiedy go zablokowano dopływ nieprzyjemnych zapachów wprawdzie ustał, ale i tak pozostał jakiś zadawiony smród oraz — nowy problem socjalny. Lichomski mówił o nim już dziesiątki razy, ale dziś po raz pierwszy przed dyrektorem Wierzbowskim.

— Kochani, ja bym chciał w końcu wiedzieć, czy załatwię się kiedyś w pracy, czy też ciągle będę musiał jeździć do domu, a potem wysłuchiwać uwag za samowolne oddalenie



się z pracy. Te ubikacje, z których korzysta personel, są pozamykane. My nie mamy dostępu, bo my nie jesteśmy pracownikami. Ile razy były te ubikacje zabijane, zamki i drzwi urywane? Bo jak kogoś przypie, to co ma robić? Na podłodze? Jak już nie nie możecie, to chociaż nam jakąś stodołkę wybudujcie!

Doktor Kuc podziela oburzenie i żądanie kierowców, chociaż wyraża to w znacznie łagodniejszej formie:

— Wiadomo, że jedna ubikacja na 53 osoby w Pogotowiu nie wystarcza. A trzeba jeszcze pamiętać, że dochodzą do tego jeszcze pracownicy laboratorium i chorzy, oraz... całe miasto. W naszej kochanej Łomży jest przecież tylko jeden szalet publiczny i to nie zawsze czynny. Jeśli ktoś jest w nagłej potrzebie, biegnie co sił do szpitala. Ubikacja, którą tu znajduje, uraga wszelkim wymogom higieny. Trzeba to jakoś rozwiązać, ale nie bardzo widzę jak.

Do rozmowy włącza się pani Czechowska:

— Mielśmy dostęp do dwóch pracowniczych ubikacji. Dorobiliśmy do nich klucze. Ciągłe ginęły. Ostatni raz zbierałam nawet po złotych. Myślałam, że jak każdego trochę obciążyć, to będzie bardziej pilnował. Nie udało się. Ktoś włamał się do toalety i oszabrował ją.

— Wtedy też zaczęło się od tego, że zginał kluczyk — wtrąca Tadeusz Kulesza. — Nie było go już z pół dnia. Wziąłem taboret i zaglądam góra. Zaskłabił kto? A tam pusto. Ani człowieka, ani muszli. Nawet kafelki wydłubane. Obcy tego nie zrobił. Podejrzewamy, że może ktoś z poprzednich przypadków sanitariuszy. Ale może i któryś z nas?

— No właśnie — podchwytuje Cecylia Czechowska — Wprawdzie nie korzystamy z tej ubikacji sami, ale chorzy nie wykręcają nam kranów, bakterii, nie ukradną nakrywy z sedesu. My to robimy.

Kilku kierowców zgodnym chórem: — Czyja to wina? Kierowców!

Drwiący ton zdenerwował chyba panią Cecylię, bo zdecydowała się na atak:

— Pół miasta przychodzi do was panowie na karty. Dowodem jest zlamany tapeczan. Gralo się w karty, popilo się i polamało tapeczan. A potem do mnie pretensje: „Pani nam da tapeczan! Co pani sobie myśli!” Ja nie mówię o wszystkich, bo dwóch jest tylko panów, co mają wciąż jakieś pretensje. Raz, o wpół do ósmej był wyjazd do porodu. Pielęgniarka mi zgłasza, że kierowca nie chce jechać. Idę. Pan Struciński leży na tapeczanie, nawet nie raczy się podnieść. „Nie dojadę, bo mnie się kłapa nie zamyka”. Dwanaście godzin jeździł, a na pół godziny mu się nie zamyka.

Oskarża się dyrekcję, że nie potrafią rządzić, ale od siebie nie się nie daje. O ósmej sanitariusz stoi z kartą jak sierota, bo kierowcy sobie wybierają, z którym będą jeździć. Albo jeszcze lepiej — jeżdżą sami. Tylko co taki kierowca zrobi, jak jest wypadek na szosie i zatrzymają karetkę?! To i tak szczęście, że to się wszystko kupy trzyma. Panowie, wy chcecie zaważać Pogotowie, chcecie rządzić, a nie chcecie nas słuchać. Pracuję w Pogotowiu od 56 roku i nigdy z czymś takim się nie spotkałam. Niech powie Kulesza. Przedtem współpracował jakoś się układała. Może gdyby takie spotkania były co miesiąc, nie narosłoby tyle problemów?!

— O tych problemach chcieliśmy mówić — przerywa Lichomski. — Czy ktoś nas do tej pory wysłuchał? Nas: robori, chamów? Czy mnie nie bolało, że poprzedni dyrektor wypychał mnie za kolumnę na korytarz?

Obecny dyrektor też chyba nie darzy kierowców specjalną sympatią:

— Panie Lichomski, ja się w ogóle dziwię, że pan pracuje w Pogotowiu. Pan się do tego nie nadaje. Ja, chociaż też noszę znaczek „Solidarności”, nie chciałbym należeć do tej samej co pan organizacji.

Lichomskiego też ponoszą nerwy: — Nie, proszę pana. Ja będę tu pracował dotąd, dopóki sam się nie zwolnię lub nie zrobi tego mój dyrektor z WKTS. I nie przestanę mnie obchodzić i drażnić bałagan w Pogotowiu. No bo weźmy takie przykłady. Jedziemy do wypadku jak na złamanie karku, narażając się nawet na niebezpieczeństwo; przywozimy konającego lub ciężko rannego, a on tu czasem czeka godzinę — dwie zanim lekarz raczy się nim zająć.

Teresa Steckiewicz przywołuje go do porządku:

— Proszę pana, to jest sprawa lekarza. Wyłącznie jego.

Lichomski nie daje za wygraną:

— Od kierowcy wymaga się, żeby siedział cały czas za kierownicą, albo w tej salce. Siedziałem kiedyś w nocy przed budynkiem, bo nie mogłem spać — dostałem ochrzana. Nie zauważyłbym, że lekarz i sanitariusz idą do karetki? Ale nikomu, jakoś nie przeszkadza, że jak doktor Kuc ma dyżur, to bierze radiostację na plecy i idzie do domu. W razie nagłej konieczności erka najpierw jeździ po doktora, a potem dopiero po wypadku. Nie tak dawno to było: „01 zgłoś się, ja już wychodzę”. Zanim erka dojechała do wypadku, człowiek już nie żył.

Albo jak był wypadek tu, na skrzyżowaniu ze światłami. Ja akurat przechodziłem i pani Czechowska wtedy się przyglądała. Sanitariusze dwa razy przebiegali. Nie mogli go zanieść na noszach do szpitala? Nie,

penetracja





potrzebna była erka. Pół godziny minęło zanim ze szpitala na skrzyżowanie przyjechała.

Zawsze czeka na lekarza. A w nocy znowu nie można go dobudzić. Potrafi jeszcze powiedzieć do sanitariusza: „Odpieprz się”. No i zanim się ubierze... Bo my to śpiemy w ubraniach.

Albo jeszcze takie dwa wydarzenia na jednym dyżurze. Miałem niewiele paliwa, więc myślę — zatankować, bo lepiej żeby zostało chociaż trochę, niż ma ćwiartka zabraknąć. Okazało się, że akurat trzeba byłojechać do porodu. Pewien doktor tak mi dał popalić za to tankowanie... A tej samej nocy mieliśmy pilne wezwanie do chorego w Łomży. To był młody chłop, 26—27 lat. Oszkisił się nazywał. Zanim pan doktor wstał, ubrał się, umył, zesłał godziną czasu. Ludzie tu piechotą przychodzili, bębniłi: „Jedziemy, jedziemy”. Wreszcie jak żeśmy pojechali, to okazało się, że pacjent już zmarł — coś z sercem. Wychodzi kobieta, wyzywa lekarza i mni: „Ty le razy przychodzili, prosiłi, aż dzieciak nie żyje.” Co mi pasowało zrobić? Tylko zamknąć usta, chociaż chciałoby się otulac raz a porządnie lekarza.

Spokojny głos doktora Kuca opamięnowie krótką, nieprzyjemną ciszę:

— Ja od państwa nie więcej nie wymagam, jak tylko wyliczenia się z przydzielonych czynności. Przyznaję, że pewne luki są, ale postaramy się je z dyrekcją załatwić. Nie może być sytuacji konfliktowych w tego typu pracy. Dzisiejsza burza rozpętała się dlatego, że było ostatnio trochę pism, notatek, i uwag do pracy panów.

A propos krótkofalówki. Brałem ją i będę brać do domu, żeby kontrolować co wy robicie. Czy słuchacie muzyki, prowadzicie prywatne rozmowy, czy jeszcze co innego. I jeszcze, skoro jestem przy temacie: panie dyrektorze Kamiński, co się dzieje z tymi krótkofalówkami? Próbowałem się kiedyś porozumieć z Piątnicy, z Zabawki — bezskutecznie.

Okazuje się, że na razie nie zrobić nie można, ponieważ nie jest to dobra częstotliwość. Zdarza się, że słychać Giżycko, Elk czy Wyszków — ktoś nawet nagrał na magnetofon nawoływania z Jeleniej Góry — a z Piątnicy głucho. Wprawdzie ministerstwo planuje wymianę sieci nadajników, ale łomżyńskie, podobnie jak białostockie w tej kolejce jest na szarym końcu.

Po tych wyjaśnieniach doktor Kuc twierdzi, że kierowcy też nie są święci, bo zdarzyło się, że jechał kiedyś z chorym do Białegostoku i na jednej z ulic stanął z powodu braku paliwa. Kierowca wprawdzie twierdził, że wysiadł wskaźnik, ale

on przypuszcza, iż wynikało to raczej z jego niedbalstwa. Teraz, od kiedy zmieniono system zakupu paliwa, jest jeszcze gorzej. Trudniej o dokładne rozliczenie między kierowcami.

Doktor Kuc nie zgadza się też ze stwierdzeniem kierownika Żelachowskiego, że na dyżurach w pogotowiu jest mało lekarzy:

— To nieprawda. Grafiki są dobrze ułożone. Ja więcej lekarzy nie dam, bo mi nie wolno. Według grafiki lekarz jest. Może być sporadyczna sytuacja, że w ostatniej chwili przyniesie zwolnienie lekarskie, ale to zdarza się wszędzie. Nie można jednak tolerować chamskiego zachowania się. Moim zdaniem część kierowców pracuje tu przypadkowo. Mamy dużo kobiet, więc częste rzucanie mięsem jest niewskazane.

Kierowcy oburzają się. Nikt nie bluzgał przez radiotelefon. Struciński przyznaje, że ochrzanił dyspozytorkę, bo nie potrafiła podać, jak znaleźć chorego w Cydzynie Starym i zrobił 30 kilometrów na próżno. Ale wulgarnych słów nie używał. Dyrektor Kamiński stwierdza, że można to sprawdzić, ponieważ wszystkie rozmowy nagrywane są na magnetofon. Nie trzeba więc ani podsłuchiwać, ani przysięgać. Chcąc rozładować atmosferę, opowiada, jak to kiedyś przysłuchiwał się rozmowie kierowcy i lekarza: — Obaj mówili tak samo soczyście.

Dużo tych zapiekłych żalów. Tak łatwo tematu się nie obejdzie. Teresa Steckiewicz przypomina inny wypadek: holowania karetki reanimacyjnej z pustym bakiem. Wątpi też, żeby Struciński rzeczywiście nie mógł znaleźć adresu w Cydzynie.

— Na pana już wcześniej były skargi. Na Osiedle Jantar dowodził pan lekarza? Tylko do wjazdu, a nie do klatki schodowej. Powiedział pan: „Niech pan doktor przejdzie się piechotą”.

— Pani Tereso, czy są konieczne aż takie przywileje? Czy muszę jeździć po tych krawężnikach, niszczyć trawniki? Moim zdaniem nawet lekarzowi nie się nie stanie, jak przejeżdża dwadzieścia metrów. Poza tym na Jantarze bardzo trudno się zorientować nie tylko gdzie jaki numer, ale czasem nawet i jaka to ulica.

— Ja nie obwiniam za niesprawność jedynie kierowców. Fakt, że czasem trzeba i lekarza szukać, czekać na niego. Ale pamiętajmy, że lekarz w tym czasie przyjmuje w ambulatorium, nieraz jest na oddziale.

Lichomski znów nie wytrzymuje: — To prawda, ale bywają wypadki, że w białym personelu budzi się bieżąca krew. Kropi deszczem — trzeba podejść po panią doktor aż na rampę; jak się gdzieś pokaże eukierki czy dowiozą smalec — podrzucić pielęgniarkę; kończy się dyżur — podwieźć do domu. Człowiek nie może mówić, bo się razem pracuje, nieraz potrzebne jakieś zwolnienie. Ale jak kierowca swoje chore dziecko czy żonę odwiezie po badaniach do domu, to dyspozytorki robią wielki raban i albo wpisują w kartę, albo skrobią raport.

Wymagania od nas wielkie. A jakie mamy warunki socjalne? Ta jedna kłitka. Tu śpiemy, jemy, dyżurujemy. Nie ma żadnej prasy. Jak nie ma wyjazdu, jedyna rozrywka pozostają karty albo łapanie karaluchów. — Tzw. francuz — odpowiada Czechowska — w szpitalu są. Jeżeli pokazali się również tutaj to dlatego, że zostawiać okrucho po śniadaniu i robak idzie, bo ma żywność. Sami musicie pilnować.

Dyrektor Kuc również nie wspominuje kierowcom.

— No, no panowie, pomyślałby kto — aniołki Charliego. Heł! to razy ja wam zabierałem karty; a ile razy nie dalaście ich sobie odebrać? Niemalże też butelek po wódce stąd wyniesiono.

— Tylko tu się pije? A na górce co? — mruczy ktoś z kąta. — Żaden kierowca nie wypije na dyżurze.

— Pracujemy w zespole — ciągnie dalej doktor Kuc — jeżeli są w nim fermenty i męty, to praca nie jest dobra. Dyrektorze Kamiński, mam prośbę, by w rozmowach z kierowcami zwracał pan uwagę na ich wygląd. Żeby pracownik wyglądał jak człowiek. No, żeby przynajmniej był ogolony i czysty.

Dyrektor Kamiński korzysta z prawa głosu:

— Wydaje mi się, że nasza dyskusja za bardzo poszła w jednym kierunku — wygarniania wzajemnych uraz. A jest przecież wiele innych, bardziej ważkich problemów. Może

pan, dyrektorze Wierzbowski, zechce coś powiedzieć?!

Dyrektor nie odpowiada na żaden szczegółowy zarzut. Stwierdza nieco retrospektywnie:

— Myślę, że sytuacja jest bardzo ciężka. Szpital ma od początku kłopoty z Wojewódzką Kolumną Transportu Sanitarnego. Spotykaliśmy się wprawdzie z dyrekcją WKTS, rozmawialiśmy o współpracy, ale oni nie chcą iść nam na rękę. Zażądano od nas właściwie wszystkiego, nie dając w zamian nic. Wozy przyjeżdżają kiedy chcą. Nie mają benzyny, choć powinny być zatankowane poprzedniego dnia. Codziennie rano powtarza się ta sama historia. Dyspozytorka ma niby samochody, ale jakoś żaden nie może wyjechać. Albo zepsuty, albo bez paliwa, albo sanitariusz kierowcy nie odpowiada.

I jeszcze ta nagonka ze strony dyrekcji WKTS, gdyśmy postanowili zamknąć szpitalne podwóreczko. Zaczęło nawet zarzucać białemu personelowi okradanie samochodów służbowych i naprawianie w warsztacie pojazdów prywatnych. Kolumna musi wykonywać zadania dla szpitala, pracowników, chorych. To trzeba zrozumieć panie dyrektorze. I to muszą zrozumieć pańscy pracownicy. Bo jak dotąd, sytuacja jest odwrotna.

— Nie może być takich powiedzeń, że nie obowiązują panów polecenia doktora Kuca czy pielęgniarek — dyrektor Kamiński mówi z wyraźną emfazą. — Zawsze musicie pamiętać o tym, że jesteście tutaj odelegowani do pracy i że będą uwzględniali uwagi dyrekcji szpitala i Pogotowia. Nie mogę was tylko gaskać. Nie pozwolę jednak na to, żeby pracownikom WKTS działa się krzywda. Cieszę się, że dyrektor Wierzbowski wykazuje przynajmniej zainteresowanie tymi sprawami. To pierwszy krok do tego, żeby się w końcu dogadać. Mam nadzieję, że propozycja comiesięcznych spotkań się przyjmie i że w efekcie poprawi to sytuację. Na naszych wewnętrznych spotkaniach kierowcy zawsze zgłaszali masę skarg; i na lekarzy, i na pielęgniarki. Dziś tak konkretnych zarzutów nie było. Dlatego podnoszę dość często powtarzającą się sprawę podziału obowiązków przy doprowadzaniu karet do porządku. Mimo jasnego określenia, że każdy dba o swoje miejsce pracy — zawsze są jakieś zadrażnienia. Innym, bardzo ważnym problemem jest stan techniczny karet. W Gdańsku wywaleczono obniżenie przebiegu nysy do 30 tysięcy kilometrów, „fiata” do 130. Byłoby świetnie wprowadzić to i u nas, ale na to potrzeba dwukrotnie większej ilości karet. FSO wyprodukowałaby je nawet, ale my nie mamy pieniędzy na takie zakupy. Samochody w FSO czekają, a my musimy oddawać swoje do remontów kapitalnych. Za remont Fiata płacimy 160 tysięcy i są to pieniądze wyrzucone w błoto. Nie mamy własnej bazy, a Białystok nie chce przyjąć tych robót. Trzeba jeździć do Lublina lub do Bydgoszczy, która odważyłaby się. Silniki przywiezione od nich pracują godzinę, półtorej, i znowu nadają się do remontu kapitalnego. Teraz trzy fiaty stoją bez silników. Nie mogę mieć pretensji do działu technicznego, bo oni załatwili wykonawcę. Gdybyśmy mieli własne warsztaty... Mam nadzieję, że sytuacja zmieni się na lepsze, gdy prześmiesimy się do nowego obiektu.

Doktor Kuc dorzuca refleksję: — Zmieni się na lepsze tylko wtedy, gdy każdy będzie pracował tak, jakby dla siebie.

Kierowcy jeszcze nie dają za wygraną:

— Dlaczego nie dba się u nas o oszczędność paliwa? Czy nie jest nonsensem przewożenie karetka chorych zakaźnie ze szpitala do rentgena. Zamiast przejechać 20 metrów, chory wieziony jest 50 metrów, a potem i tak idzie drugie tyle.

Ta kwestia wywołuje krótką polemikę ze strony doktora Kuca:

— Transport międzyoddziałowy musi być. Chorych trzeba przewozić, bo nie wszyscy mogą chodzić.

— Chory na zółtaczkę może przejechać kilka kroków.

— W bieliźnie po dworze nie pójdzie.

— I tak chodzi.

— A nie prościej przenieść chorego na noszach?

— Nie, najlepiej byłoby przewieźć na wózku, ale mamy ich za mało.

Dyrektor Kamiński ostentacyjnie spogląda na zegarek: — Siedzimy już trzy godziny.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Wjazd do Łomży od strony Piątnicy odsłania przed okiem piękną panoramę nadnarwiańskiego grodu z wysypiskiem śmierci na pierwszym planie, należącym ani chybi do Zarządu Wojewódzkiego Ligi Obrony Kraju. Czy Liga broni kraju nie wiemy, ale że brudasów z własnego kręgu — na pewno, i to od dawna.

Próbowałem dojść, dlaczego kasownik w łomżyńskich autobusach komunikacji miejskiej umieszcza się tak nisko, że zamiast ułatwić, przeszkadzają w kasowaniu biletów. Odkryliśmy: pomysłodawca chciał wyśmęć pokłony dla techniki, a pośrednio wypiąć tylek na pasażerów.

Na pytanie podczas sesji rady miejskiej: „Co robi milicja, aby zlikwidować ponad 50 melin pijackich w Łomży?” komendant miejski MO odpowiedział, że „społeczeństwo zakłada meliny, społeczeństwo kupuje w nich wódkę, niech więc społeczeństwo je likwiduje”. Utrafimy chyba w intencję wyjaśnienia, proponując, by również społeczeństwo... rozliczało komendanta.

Wojewódzki Szpital Zespolony zafundował sobie nowe tabliczki na parkanie od strony ulicy Turlejskiego: „Teren Szpitala. Wstęp wzbroniony”. Za tym samym parkanem, obwieszonym tabliczkami znajdują się przychodnie: neurologiczna, laryngologiczna itd. odwiedzane codziennie przez setki pacjentów. Przypomina się stary dowcip, którego bohater przestał wierzyć w napisy w momencie, gdy chciał pogłaskać narysowaną na płocie pupę i mu w palce drzazga wlaża.

Mieszkańcy gminy Radziłów, korzystając z łask Opatrzności zobowiązani są do przekładania terminu swoich chorób, przyjmowania serijnych zastrzyków, a także porodów — z wolnych od pracy sobót oraz niedziel na pozostałe dni tygodnia. Właśnie w owe wolne chwile cały personel Gminnego Ośrodka Zdrowia udaje się na weekend. W uprzywilejowanej sytuacji są: psy, koty, świni i inne czworonogi Radziłowa i okolicy, ponieważ mają całotygodniową opiekę weterynaryjną.

W wielkim cywilizowanym świecie ludzie boją się maszyn i machin, nie przypuszczając nawet, iż one miewają podobne stany. Przekonują nas o tym łomżyńskie autobusy, które dla dodania sobie otuchy jeżdżą dwójkami i trójkami.

Mieszkańcy osiedla Jantar kibicują wysięgowi budowlanych. Co powstanie szybciej — nowy blok, czy droga budowana z wielkich płyt? Jeżeli zmagania te nie skończą się przed czasem Redakcja obiecuje stworzyć specjalny totalizator.

W regionie północno-wschodnim obronna ręka z totalnego kryzysu wychodzi jedynie Bar w Andrzejewie. Tam piwo, wódka, kiełbaska dla wszystkich i... bez kartek. Obowiązujące ceny — ruchome: pół litra „żytki” od 366 zł do 500 zł, popularny „sikacz” 60—90 zł. Ruchomy cennik w głowie barmana kształtuje się w zależności od nastroju i zewnętrznych objawów złaźnionego. Informacja dla turystów zagranicznych (czytaj: z innych gmin) — nie jest to kategoria „S”.

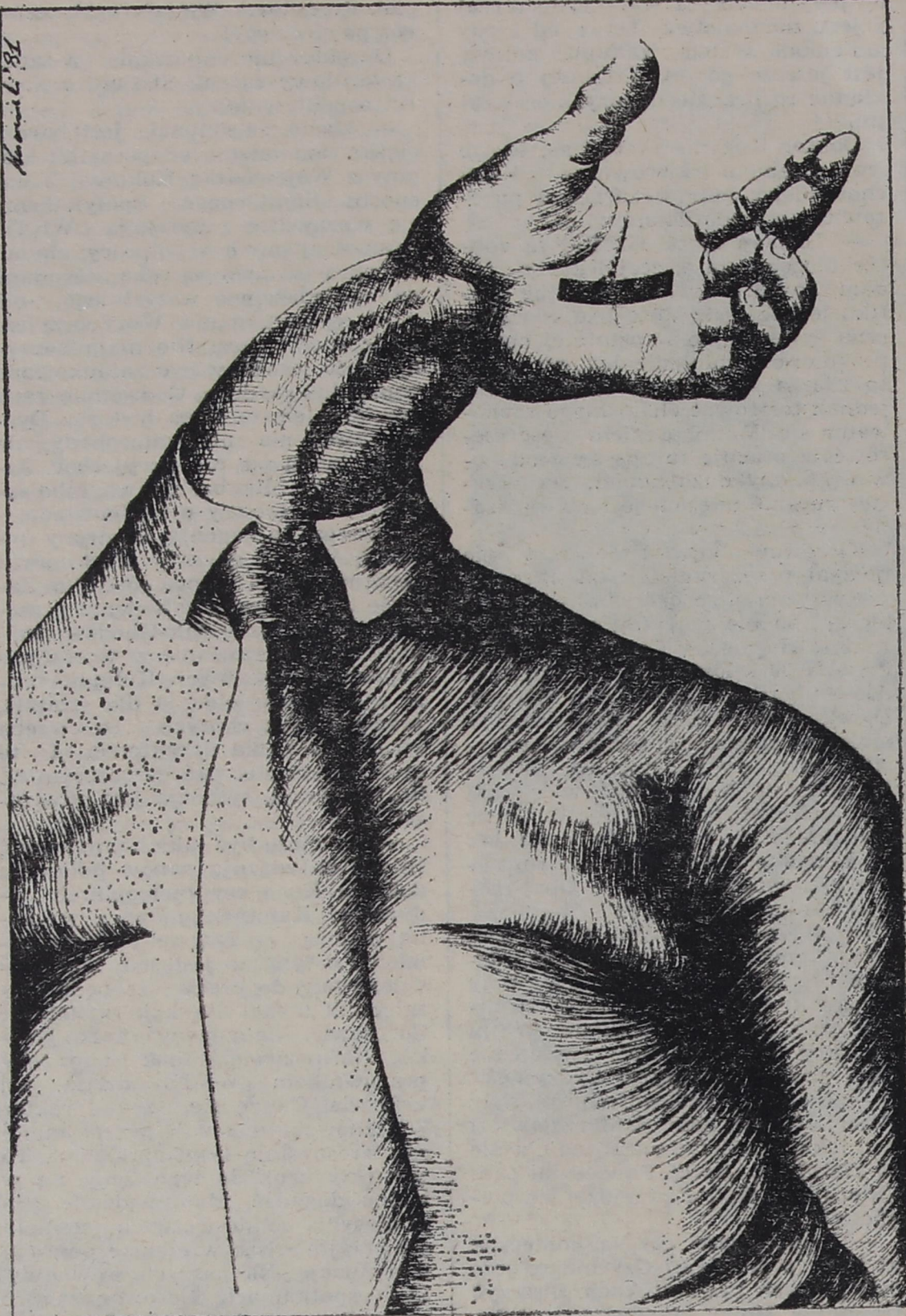
Co to jest: Dziewięciu doucza się w godzinach pracy, a jeden pracuje? Jest to personel merytoryczny łomżyńskiego WDK: 7 studentów zaoznych, 2 — ze studium pomaturalnego, 1 człowiek na rocznym urlopie bezpłatnym, 6 faktycznie coś robiących — na wczasach. A kto pracuje? Wentylator.

młot

Czasy tak anormalne, że nawet najwyklesze lato — upalne, z przełotną burzą lub czymś podobnym — przyjmujemy nieufnie. A nuż to jakiś pogrobowy relikw TMO (Trzeciego Minionego Okresu)? Toteż ludzie, wytrąceni ze znanego sobie rytmu zachowują się jak szaleńcy i nie zwracają uwagi na palące słońce, przypiekając się do stadium płonącego upiora. Zanik podstawowych instynktów, czy równie niebezpieczne zachwianie norm wziętych z codziennego doświadczenia? Wiele wskazuje na to, że chyba to drugie. Jest tak zawsze kiedy to, co zdawało się niemożliwe nagle się staje, okazuje możliwym. Dotąd dwie rzeczy, według powszechnych mniemań, doprowadzały ludzi do szaleństwa: miłość i pieniądze. Nie tyle one same, ile ich zdobywanie i utrzymanie przy sobie (szczególnym przypadkiem takiej dewiacji jest aliaż tylko dwóch składników czyli władza, ale to sprawa na inną okazję).

Od pewnego czasu w szaleństwie, będącym próbą oderwania człowieka od rzeczywistości, tym dwóch tradycyjnym sposobom sekunduje sztuka. W połowie ubiegłego stulecia poczęła czynić to systematycznie i od tej mniej więcej pory pokolenia starsze, na widok artystycznych wyczynów ludzi od siebie młodszych, kręca znaczące kółeczka w okolicach czoła. Wspominając przy tym, że za ich młodości na ich sztukę kółka kręceno mniej energicznie. I dziwne, że tak samo kwitowane są wysiłki buntowników, jak i tych, co działają całkiem inaczej, na przykład przez utożsamienie. Cóż, przecież jednym i drugim idzie o to samo: o pozbycie się, otrząśnięcie z natrętnej rzeczywistości. Obydwa sposoby stare jak człowiek, ale dopiero nasz wiek uczynił z nich coś w rodzaju wycigu sztafet. Ba, ale tego lata biegną sobie one gdzieś z dala od Polski. U nas niewyobrażalne stało się rzeczywistością: za drzwiczkami szaf i lodówek — głód, pijana nieodpowiedzialność przemieniona w skacowaną niemożność; spis kompleksów i kontuzji złożony w księgę postulatów; i rzecz ostatnia, najbardziej przykra, choć przez tak wielu jeszcze nieświadomiona — że państwo to nie mama i tata, którzy dadzą na życie: mają czy nie mają, muszą dać, ale — że państwo to my.

Nie więc dziwnego, że takimi plagami trapieni rodacy nie bardzo myślą o sztuce, albo jeśli się to zdarzy, dumają: czemu ci twórcy zno-



Rysunek Jerzego Kurnickiego

wu nie nadążają? Prawie rok Nowego (czy Odnowego), a oni nic. Nie udawajmy. Nasza rzeczywistość nie nadaje się do leczenia sztuką. Ta zaś nie wymaga kuracji tak radykalnej, jak na przykład po 56 roku. Nie zdziwiło mnie zatem to, że odbywając spacer po łomżyńskich wystawach, na każdej byłam jedynym zwiedzającym, choć czerwcowo-lipcowy zestaw ekspozycji godzien był uwagi.

Pierwsza z nich, to „Szczęśliwy naród, który ma poetę” w Muzeum Okręgowym. Pomyślana jako dekorum wizyty w Łomży Czesława Miłosza nie realizuje jedynie funkcji okazjonalnej i dekoracyjnej. Przede wszystkim za sprawą tematu, osoby bohatera. Autor jej strony wizual-

nej, Stanisław Kędzielawski dorównał pomysłom wielkości tematu i w niewygodnych ekspozycyjnych salach muzeum stworzył wysmakowaną plastycznie (głównie w rozwiązaniach przestrzennych) karty albumu człowieka Czesława Miłosza: emigranta, polskiego poety, laureata nagrody Nobla. Tak chyba można w skrócie zapisać myśl przezierającą z plastyki tej wystawy. Gorzej z jej stroną poznawczą. Dla niewtajemniczonych (ezoterycy obejrżeli ją raz, w dniu otwarcia), czyli zwiedzających, może się wydać nieczytelna. Autor części opisowej, tak ważnej (i unikalnej) wystawy nie zdołał dorównać jej wzlotem plastycznym. Nie ułatwia tego także, w ładnie

wydanym katalogu, bełkotliwy wstęp.

Biuro Wystaw Artystycznych przez czerwiec i połowę lipca prezentowało „Pokaz prac plastycznych środowiska łomżyńskiego”. Już afisz zdradza atmosferę tego środowiska, a zapewne i historię powstania wystawy — trzy z dziesięciu nazwisk autorów są zaklejone, przy dwóch lub trzech nieobecnych. Czy to znaczy, że „zaklejanki” i nieobecni nie przysłali prac (jeden z nich mieszka od BWA w odległości pół kilometra); czy prace odrzuciła jakaś komisja? A może się obrazili, albo zwyczajnie zapomnieli? Podejrzewam to ostatnie, bowiem wielkość biura wystaw pozwala jedynie, aby siedmioro autorów wystawiło po trzy prace. Gdyby było ich dziesięcioro — mogliby prezentować już tylko po dwa obrazy. Myślę, że w takich warunkach lokalowych próba pokazania środowiska musi kończyć się niepowodzeniem. Chyba mam rację, skoro najlepiej na wystawie prezentuje się jedyny obraz Andrzeja Szufarskiego. Choć, dla sprawiedliwości dodać trzeba, że działa w tym przypadku nie tylko to, że obraz jest jeden, ale — jak i co wyraża. Przewrotna metafora kwadratu płótna zamalowanego na niebiesko, z małym półkółkiem rozjaśnienia z góry zachowa rys artystycznej i ludzkiej prawdy — wszak odnowa zawsze będzie niewielkim błyskiem nadziei nad nieludzką martwością jednakowości.

W galerii „Pod Arkadami” Jerzy Swoiński pokazuje swoją „Wystawę rysunku tymczasowego”. Dwuznaczność tytułu dobrze podpowiada gatunek artystyczny — Jerzy Swoiński otworzył przed nami tekę z satyrą. Autor i organizatorzy sądzą zapewne, że jest to satyra polityczna. Nie, jest po prostu obyczajowa, wywołująca się z potocznego poczucia humoru i w większości dowcipna. Jednego tylko nie mogę przyznać autorowi — nie jest to grafika. I tę słabość czuł chyba J. Swoiński skoro wpadł na koncept „podparcia” wyrazu ekspozycji, naklejając rysunki na wycięty z czerwonego papieru młot i dopiero tę całość oprawiając w passepartout.

Młot, klasyczny w kształcie, taki z 1-Majowych plakatów, okolicznościowych dekoracji na akademie z okazji, miał — jak myślę — w zamiarze autora znaczyć mniej więcej: a widzieć, nie taki młot straszny, jakim go malują... A raczej — malowali, można by odpowiedzieć: bo jeśli jest taki sprawiedliwy, który młotów nie malował, nie pacykował modeli robotników i pstrych gołąbków — niech pierwszy rzuci kamieniem w ten młot. Inaczej — kulą w płot, czyli miał się pokazać lwi pazur, a wyłaziła łapa psa.

A wystawę polecam, bo choć najlepszy w niej tytuł, nie często takie ogląda się u nas. Raz na kilkanaście lat.

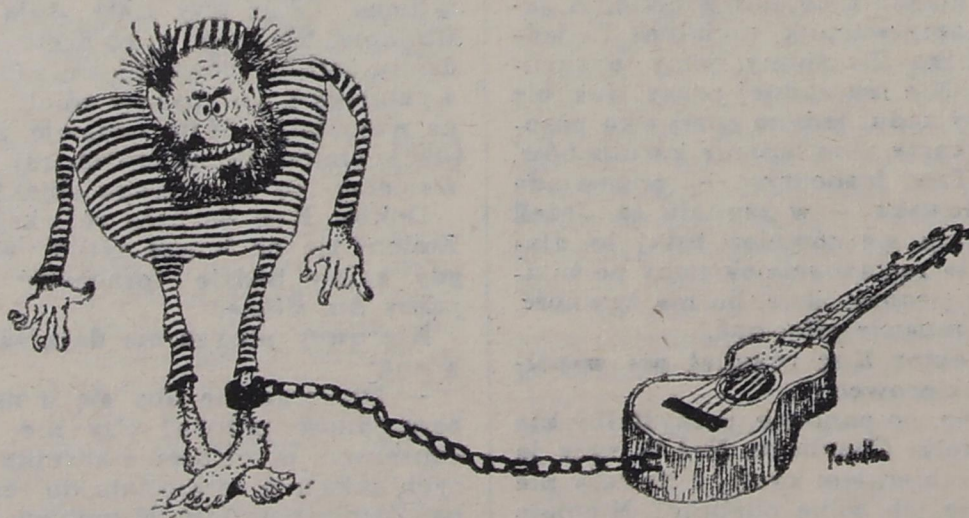
ANDRZEJ JASION

NA PIĘCIOLINII

Ciężkie czasy, więc i śmiać się człowiekowi odechciwa. Z tego to chyba powodu nadano niedawno w telewizji strzępy rozrywki, czyli relację z konkursu piosenki kabaretowej na tegorocznym XIX Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Kabaret, wznowiony po wielu latach milczenia, oczekiwany był z wielką niecierpliwością zarówno przez opolską publiczność, jak i telewizyjną widownię, której nie dane było wybrać się osobiście do amfiteatru pana Karola Musioła. W ciągu minionych lat był to naturalnie amfiteatr warszawskiej telewizji, gdyż królowała tam niepodzielnie i autokratycznie. Musiał być twórcą opolskich festiwalu, faktycznie twórcą tego koncertowego miejsca, jemu więc chyba należą się wszelkie priorytety. Ale wracając do maratonu: dość powiedzieć, że do organizatorów wpłynęły zamówienia — indywidualne i zbiorowe — na 38 tys. biletów. Tytuł chętnych chciałoby obejrzeć na żywo show Laskowika, Smolenia, Skrzyneckiego z „Piwnicą pod Baranami” i kabaret „Tu 60-tka”, czyli sceniczną wersję radiowego magazynu (zlikwidowanego ostatnio) „60 minut na godzinę”. Ta arcyciekawa oprawa przygotowana została po to, by kilkunastu piosenkarzy i zespołów mogło w konkursie zaprezentować swoje piosenki.

I kilkanaście z tych właśnie piosenek pokazano w telewizji, kierując się zasadą „im gorsze, tym lepsze”. W sumie widowisko wypadło nie-

wiwisekcja na kabaretonie



Rysunek Andrzeja Podulski

zwykle blade, przeciętnie, jakby telewizyjni bonzowie chcieli powiedzieć: „Kiedy my robiliśmy festiwal bez kabaretu — było uroczyste, bogato, wesoło i szampańsko: odeszliśmy — na nasze miejsce przyszła nuda i lawina beztalencja!” Jak gdyby na poparcie tej tezy rezydent „Kultury” — Piotr Adamczewski (który zresztą w Opolu nie był) — napisał: „I rzeczywiście koncert, którego fragmenty (na szczęście tylko fragmenty, bo — jak wiemy z relacji uczestników, wielogodzinny koncert nużył niepomniernie) oglądaliśmy, w niczym nie przypominał dawnych”. Pisanie to przypomina — rzeczywiście — pismo „Rzeczywistość”,

bowiem nie ma nic wspólnego z prawdą, a nieorientowanych wpuszcza w maliny i narzuca im interpretację.

Czy można z pięciogodzinnej widowiska wyprzeżować piosenki pochodzące z różnych programów, z różnych środowisk, tworzone przez bardzo różnych autorów? Słowo i piosenka w kabarecie są tak nierozdzielnie związane, iż ów chybiony zabieg chirurgiczny wywołać może tylko wspomnienie niedysyjszych czasów, których bohaterami byli Łukaszewicz i Szczepański. Adamczewski narzeka nawet na laureatów, czyli Kaczmarskiego i Gintrowskiego, nie wspominając ani słowem,

iż nagrodę otrzymali oni za genialne „Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego”, podczas gdy w transmisji telewizyjnej puszczono drugą, o wiele słabszą piosenkę. Jest to paradoks, bowiem tych dwóch zdolnych ludzi wspomniany song śpiewało w transmitowanym bezpośrednio koncercie galowym i jakoś nie — włącznie z ustrojem — u nas się nie zawaliło.

Wiwisekcję dokonaną przez telewizję na kabaretonie sam oglądałem z niesmakiem, chociaż w amfiteatrze bawilem się znakomicie. Doskonale jak zwykle „TEY”, wspaniały Skrzynecki i rzeczywiście nudnawy, zbyt dosłowny (ale za to krótki) kabaret „Tu 60-tka” — dali popis dowcipu i refleksji, beztroskiej zabawy i głębokiego zadumania nad dzisiejszym światem. Po latach katakumbowej wręcz działalności jest rzeczą naturalną, że kabarety poszły na całość i przegięły nieco pałę, stąd też w werdykcie jury znalazło się sformułowanie, że repertuar był jednostronny ideowo i artystycznie. W pierwszym przypadku styl narzucała piosenka Rossa „Wejdą — nie wejdą”, w drugim zaś osoba piosenkarza — kompaniującego sobie na gitarze. Potem zaś przeżyliśmy emocje związane z festiwalem w Kołobrzegu i opolskie śmichy-chichy zeszły na plan dalszy. A telewizja nadal czuwa. Czuwaj, czuwaj!

JAN JANUSZEK



SYN: Mało chyba jest w Polsce rodzin, które byłyby tak pomieszanymi. A wszystko zaczęło się od dziadka, który był strasznym obieżyświatem, zjeżdżał całą Europę, mieszkał w ogóle w całej Europie, na koniec przywiózł sobie Niemkę z Hamburga. I z babcią Niemką wychowali swoje dzieci na gorących patriotów. Synowie, to znaczy mój ojciec i mój ojczym, jego brat, byli polskimi oficerami, obaj walczyli w czasie wojny. Babcia była szykanowana za to, że ona Niemka, mająca za synów polskich oficerów, nie chciała w ogóle współpracować, kolaborować ani nie takiego. Musiała się ukrywać. Sprawa wymieszania naszej rodziny na tym się nie skończyła, bo mój ojciec, gdy walczył w Anglii — gdzie zresztą zginął jako pilot — również wziął sobie za żonę cudzoziemkę, Angielkę, w której przez krótki okres tak zaszczerpił miłość do Polski, że nie tylko przyjechała tutaj, ale została i w

SYN: Wybieraj szot. (zgrzyt bloków, szelest żagli).

DORIS: O, poszło. Chodźmy do kabiny, ja wolę w środku. Głos, który słyszymy, to głos kapitana, pierwszordnego syna, który wybrał zamiast skrzydeł, żagle. Synek urodził się w sierpniu, i przez pierwsze miesiące leżał w wózku i patrzył w górę, jak ojciec lata. Któregoś dnia mąż nie wrócił z lotu. Po czym rodzice moi przyjechali i pojechaliśmy z nimi do mojego domu w hrabstwie Kent. Tam urodził się, dwa miesiące po śmierci męża, drugi syn. Ryszard. A po półtora roku otrzymałam list z Polski, pytający o los męża. Potem zostałam zaproszona, dlatego, że rodzina bardzo chciała zobaczyć dzieci, naturalna rzecz, i w roku 1947, wiosną, wybrałam się do Polski. To był pierwszy rejs „Batory” do Polski po wojnie. Wielkie przeżycie. Jak wysiedli Amerykanie, którzy płynęli do Kopenhagi, zupełnie się zmienił atmos-

lata szkolne, bo nie były wolne od kłopotów. Ja bardzo często stałam w charakterze pokutnika pod drzwiami pokój nauczycielski, bo moi chłopaki trochę zbroili. Średnia szkoła; z najstarszym na samym początku były trochę kłopoty, był bardzo ambitny, i jak nie mógł być najlepszy, to w ogóle przestał starać, no i repetował, niestety. Dziewiątą klasę powtórzył. Drugi syn daliśmy do technikum, raz siedział, nie pamiętam, ale, zdaje się, przez wagary.

SYN: Dwa razy, dwa razy siedział!

DORIS: Więc średni syn jest bardzo dokładnie uczony, to znaczy — uczył się bardzo długo. Któregoś dnia przyszedł Rysiek i oświadczył, że nie pójdzie na politechnikę, chce być muzykiem. A tu konsternacja. I jaki instrument? Gitara. Co to za przyszłość? Tak bardzo pracował, żeby zdawać egzamin, że udało mu się zdawać, ale nie na gitarę, tylko na kontrabas. No i kłopot: kontrabas to

powrocie i w tym momencie pokłócił się z moją rodziną, w której naturalnie mnie poparto, i przez jakiś czas słuch o nim zaginął. Później się dowiedziałam, że bardzo ciężkie dwa lata przeżył w Londynie. Tam też jest wnuczka, trzy lata już ma, mała Anna. Potem doszły wiadomości, że rozpoczął tam studia w szkole filmowej. Naturalnie staram się jak najczęściej tam jechać, ale ciągnie mnie z powrotem.

SYN: Przygotuj grota do ściągnięcia. Dobra, ściągaj i do pegelków.

DORIS: Jak jadę, w pierwszej chwili jest wielka radość, ale zazwyczaj sześć tygodni to jest góra i zaczyna mnie coś tutaj nurtować, kręcić, już jestem niespokojny, chcę wrócić do Polski.

SYN: Ster w prawo. Cholera, znoś nas wiatr. Mocniej, mocniej wiosłować.



TOMASZ PIOTROWSKI DORIS I SYNOWIE

tej chwili, można powiedzieć, jest Polka, i nas też wychowała na Polaków.

DORIS: Jak wiem o tym, że mam mówić poprawnie po polsku, to wtedy najgorzej mówię. Jak mówię, tak sobie, paplam, to wszystko jest dobrze.

(Stukot wiosł o burty łodzi)

SYN: Takie małe wiosła, a ja chcę, żebyśmy jak najszybciej wypłynęli, bo wiesz...

DORIS: Tak, bo tam będzie więcej powiew...

SYN: Tu gorąco jest, cholera. Słaby wiatr...

DORIS: Nie narzekajmy na te gorąco.

SYN: To też prawda. Ale trzymaj, mama kurs.

DORIS: Miałam dziewiętnaście lat, jak wojna wybuchła, i już w pierwszym roku wojny zostałam wciągnięta do WAF-u, to jest Pomocniczej Służby przy Lotnictwo Angielskie. Zawsze to była nocna praca, nocne loty, podśluch samolotów. A ja miałam zaszczepione zadanie, po prostu zapisanie wszystkiego, co słyszałam, co mówili. Słyszałam, jak jeden pilot mówił: uważaj na ogon, masz messerschmitta, i w ogóle jakieś okrzyki. Nieraz język nie był zupełny, taki, jak powinny być, a myśmy mieli za zadanie podkreślić czerwonym ołówkiem wszystkie te brzydkie słowa. Tragiczne też słyszeliśmy rzeczy, jak ktoś ginął i też mówił przez mikrofon. Denerwujące to było nieraz, ale później dało obraz, jak bitwa w powietrzu się odbyła. Z przeszłości mam takie migawki, takie obrazki, takie kadry jakby: powrót lotników, jak zdejmują te hełmy, mają twarze zupełnie szare z pyłu, z brudu, potu, ściągnięte. To byli ludzie zupełnie zmienione, po iluś tam godzinach lotu nad Niemcami, i jakiś czas trwało, zanim oni się rozprężali. Zawsze do nas wpadał na herbatkę. Potem spotkałam bardzo przystojnego Polaka, lotnika, wysłałam za męża, no i skończyłam moją karierę w WAF-ie. I zaczęła karierę matki — Polka.

SYN: Uwaga, przygotować się do zwrotu. Mama, trzymaj szota.

DORIS: Trzymam, trzymam

fera statku. Słychać było muzykę Szopena, jakoś ciszej było, ludzie już wypatrywali wybrzeże Polski. Łzy ciekły im po twarzy, bo tam było widzieć maleńki skrawek ziemi, ledwo widoczny. Potem przybiliśmy do Gdyni, a tam chyba ze trzy orkiestry. Radość wielki, witanie; to w ogóle się nie da opisać. Znalazł się teść, który — na szczęście — mówił po angielsku i pojechaliśmy do rodziny. Tam poznałam brata męża. Wszystkim się zdawało, że będzie bardzo dobrze, jeśli mi się pobierzemy. Dzieci się wychowują w Polsce, jak sobie życzył ojciec, i brat będzie dobrym ojcem. Podobaliśmy sobie nawzajem, no i w lipcu był ślub. Tak się zaczęło moje życie, prawdziwe życie w Polsce. Mąż w tym czasie skończył studia i w styczniu następnego roku wyjechaliśmy do Warszawy, tam zaczął pracować. W czerwcu urodził się trzeci syn, Stefan. Jak dzieci trochę podrosły, zaczęłam się rozglądać, żeby rozszerzyć pogląd na Polskę i w ogóle coś zrobić, znaleźć sobie miejsce w tym małym kraju. Proponowano mnie, żebym się zgłosiła do Polskiej Agencji Prasowej, bo potrzebują tłumaczy. Spróbowałam szczęścia i zostałam przyjęta. Powoli wciągnęłam się do pracy. Byłam tłumaczem chyba przez sześć lat. Uczyłam się coraz więcej i przesłam na etat dziennikarski, zaczęłam redagować pismo tygodniowe, kulturalno-polityczne, informujące o wszystkim, co się dzieje w kraju. Na początku poszło tylko do ambasady, później mieliśmy w ogóle abonenty zagraniczne. Mały to był nakład, ale praca bardzo ciekawa. Tymczasem chłopaki rośli i obecny tu kapitan już miał dwanaście lat. Pojechaliśmy któregoś roku na Mazury i spotkaliśmy kolegę męża, który miał żaglówkę. Nie można było Edka od żaglówki odcignać. Po prostu stał, patrzył i czekał. Zresztą Edi sam możesz powiedzieć, jak to było.

SYN: Nie ma dużo do opowiadania. Od tego czasu co roku żegluję. Mama, wybieraj, wybieraj foka... jeszcze, jeszcze dobra.

DORIS: Właśnie teraz trochę o te

przecież poważny wydatek. W końcu zrobiliśmy ten wysiłek, trochę pożyczaliśmy i kupiliśmy kontrabas. No i kształcił się dokładnie jeszcze pięć lat, skończył szkołę dość dobrze, choć na początku były jakieś perypetie.

SYN: Tak, ale on powtarzał rok, bo nauka trwa cztery lata.

DORIS: Muzyczny powtarzał też?

SYN: Tak, tak, powtarzał rok.

DORIS: Rzeczywiście, dokładny. Boże, jaki ja mam uczzonego syna! Potem dostał kontrakt do Meksyku. Do Meksyku czy do Meksyk? Do Meksyku! No i jest w tej chwili w Meksyku, gra w orkiestrze symfonicznej w Guadalajarze. Jego żona tam też z nim jest. Urodził się nam wnuczek, Aleksander, i byłam tam, jak się urodził, tak, w Meksyku. Więc ja nazywam siebie latającą babcią.

SYN: Wybierz, wybierz foka!

DORIS: Ojej, piwo leci!

SYN: To chmurki, a spod niej wiatr zawiał. Jak się z Rykiem skończyły kłopoty, to się z mną zaczęły, ponieważ w tym czasie skończyłem pierwszy rok studiów, no i ten...

DORIS: Bardzo dobrze w pierwszy rok ci szło, ale tam znowu chyba była taka sprawa, że musiałeś być ten najlepszy, czy uderzyło do głowy...

SYN: To właśnie było to: woda sodowa uderzyła mi do głowy. Po prostu znalazłem angielski lepiej od niektórych swoich wykładowców. W tej chwili, jako człowiek dorosły i pracownik uczelni, wiem, że wykładowca, który zna gorzej język od studenta, może go jeszcze bardzo wielu rzeczy nauczyć, bo jest specjalistą w konkretnej dziedzinie. I w ten sposób, prosto ze studiów, znalazłem się w wojsku na dwa lata. Wróciłem na studia, skończyłem, zostałem na uczelni. Natomiast wtedy zaczęły się kłopoty ze Stefanem. On już był wtedy na etnografii, dalej bardzo dobrze się uczył, i ni stąd, ni zowąd, ten bardzo dobry student, kiedy wyjechał sobie na wakacje do Anglii, nie wrócił. Powiedział, że on tam się na jakieś studia zapisze i zostanie, bo jemu tam się podoba.

DORIS: Zaczęłam się upominać o

DORIS: I to jest właśnie dziwna rzecz. Jadę do Anglii, cieszę się, że jadę do swojej ojczyzny, gdzie się urodziłam, wychowałam, gdzie chodziłam do szkoły, a jak wracam, kiedy koła samolotu dotkną polskiej ziemi, to czuję te same ściskanie w gardle i ten radość, że bym całowała ziemię, jak wysiadam.

SYN: Dobra, tak trzymaj.

DORIS: A oprócz wychowanie dzieci i w ogóle te wszystkie różne perypetie — przecież cały czas pracowałam. Pamiętam, raz pracowałam trzydzieści sześć godzin non-stop, po prostu były bardzo dużo materiały do tłumaczenia i siedzieliśmy. Przez jakiś czas wydawali nam też taką serię wszystkie ważne dokumenty państwowe, tłumaczone na angielski. W pewnej chwili tak się złożyło, że zdrowie moje od tego wszystkiego szwankowało i musiałam, niestety, przestać pracować i przejść na rentę. Wtedy trafiło mi się takie propozycje: tłumaczenie „Dzieje literatury polskiej” Krzyżanowskiego. I zaczęłam to ogromne dzieło, pracowałam nad tym cztery lata. Muszę powiedzieć, że w trakcie tłumaczenia dopiero poznałam — nie mogę powiedzieć, że całkowicie — dopiero zaczęłam poznawać Polskę. Dlatego, że historia literatury to jest historia kraju. I dopiero zaczęłam rozumieć, dlaczego niektóre rzeczy są tak inne i inaczej w Polsce, dlaczego Polacy tak myślą, nie inaczej, dlaczego jest tutaj jakiś specyficzny atmosfera. Tak wciągnęłam się w tłumaczenie, że jak ostatni kropka postawiłam po czterech latach, żal mi było, że się skończyło. Pierwszy raz w życiu miałam takie uczucie: chciałam, żeby ta praca jeszcze trwała. Czy można powiedzieć, że się rozumie duszę czyjekolwiek? Ja zaczynam rozumieć duszę polską i czuję się bardziej jeszcze w domu. Po prostu wczuwam bardziej w naród i czuję się jednocześnie jakby bardziej częścią tego narodu.

SYN: Dobra, możesz, mama, iść na dziób, zaraz zacumujesz.

(stukot burty łodzi o molo przystani).

TOMASZ PIOTROWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

obcy czaje



sądu dzień powszedni

MAREK
RYMUSZKO



Tam miliony kuglowane z państwowej kiesy, tu — pokawałkowane zwłoki w neseserze. A za ścianą codzienna, żmudna gra w karty bilion, gdzie również trzeba czynić sprawiedliwość. Młoda prokurator, wciągająca przykusa tęgi dziwi się, co może w tego typu sprawach interesować reportera. Nędzna szarówka, a na dodatek od samego rana poślizg, bo jeden z ławników rozchorował się i trzeba było awaryjnie ściągać innego. Naturalnie, emeryta, bo ci mają najwięcej czasu i są — jak to się mówi — dyspozycyjni.

— No, niestety — rozkłada ręce pani sędzia — stale mamy z tym kłopoty. I tak dobrze, że to dopiero pierwszy termin, bo inaczej trzeba by było odroczyć.

Dla kogo dobrze, dla tego dobrze. Ławnik, który przyjeżdża z ziajany, przystępuje do procesu bez znajomości akt i w ten sposób pozostaje jego biernym statystą.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w sprawach cywilnych, gdzie przepisy zezwalają, by na kolejnych rozprawach ławnicy się zmieniali. Osobliwa to procedura, mimo woli zdradzająca lekceważenie Temidy dla cywilistyki.

— To jest kilkaset tysięcy spraw rocznie. Wyobraźcie sobie państwo, że w każdej z nich miałby zasiadać od początku do końca ten sam ławnik. Rzecz w praktyce nie do zrealizowania — konstatuje przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości podczas spotkania z dziennikarzami, członkami Klubu Publicystów Społeczno-Prawnych SDP.

— Pół biedy — dorzuca sędzia Danuta Kruszevska — jeśli ławnik, który przystępuje do sprawy, w trakcie jej trwania nie próbuje być zbyt aktywny. W przeciwnym razie traci się nie raz całe godziny na rozstrzygnięcie spraw dawno już wyjaśnionych.

Z badań przeprowadzonych przed kilku laty przez Instytut Badania Prawa Sądowego metodą ukrytej obserwacji rozpraw oraz ankietową (chodziło w nich o wyrobienie sobie poglądu na temat kultury prowadzenia procesu oraz oddziaływania sądu na świadomość społeczną) wynikało, że większość ławników nie przejawia żadnego zainteresowania toczącą się sprawą, a niektórzy z nich na procesie przysypiają. Obojętność tylko raz zdarzyło mi się zetknąć z ławnikiem, który podczas rozprawy zasnął. Ze względu na to, iż był to człowiek prawy i wielkiej dobroci, jego nazwisko pominę milczeniem. Znacznie częściej natomiast postronnemu obserwatorowi dostrzegał totalny brak aktywności ławników, który powoduje, że wyrok wydaje jedna osoba — zamiast trzech.

Z kolei ławnicy zarzucają sędziom, że nie pozwalają im się swobodnie wypowiadać, są popędliwi, traktują czynnik społeczny lekceważąco. Jakkolwiek by nie patrzeć, ławnicy niepokorni są w cenie. I w zdecydowanej mniejszości.

Wróćmy jednak na salę, w której prawo karne rozmienia się na drobne. Właśnie toczy się sprawa ze sto osiemdziesiąt cztery, paragraf jeden. Dla laika kod, który nie ma znaczenia dla prawnika — banał: znęcanie się nad rodziną. W tym przypadku — najcięższym — akurat nad żoną. Na ławie oskarżonych drab, chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu; obok niego filigranowy szeregowiec w milicyjnej czapce z paskiem zaciągniętym pod brodę. Pisanie o oskarżonym per „drab” nie należy do dobrego tonu, niemniej, mimo iż zastanawiam się intensywnie nad jakimś bardziej przyjemnym desygnatem, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Facet na ławie oskarżonych jest bowiem wyjątkowo ponurym. Raz po raz toczy ciężkim wzrokiem po twarzach obecnych i, zdaje się, nie bardzo rozumie, o co tu chodzi. Zamknęli go po tym, jak zrzucił żonę ze schodów, bo mu nie dała słów, o którą — zapewnia — grzecznie prosił. Przy okazji zdemolował sąsiadowi drzwi, cisnąwszy w nie, stojącym w przedpokoju, kredensem. Również i dzisiaj oskarżony zdradza objawy złego humoru, wskutek czego sąd musi go parokrotnie upomnieć. Inna rzecz, że od kiedy trafił do aresztu — nie pił, co musi fatalnie wpływać na jego samopoczucie.

Drobna kobiecina za barierką dla świadków lka bezgłośnie. Odpowiada na pytania cicho, niewyraźnie.

— Nie wiem, nie pamiętam. Od sąsiadów, normalnie.

No, tak: rozpoczyna się stały rytuał w tego rodzaju sprawach. Co innego wygadać się w milicyjnym gabinecie, gdzie przesłuchujący czasem nawet postawi herbatę, a co innego zeznawać na sali sądowej, gdy winowajca siedzi w zasięgu ręki. Świadek zaczyna kalkulować: facet dostanie wyrok w zawieszeniu i wyjdzie jeszcze dzisiaj, a ja będę musiał wracać do domu przez okno, żeby mnie nie dopadł na klatce. Nie ma głupich.

— Ale przecież — pyta niemłoda już ławniczka, poruszona do głębi dramatem, w którym przyszło jej uczestniczyć — sam pan mówił, że

rych z nich mogą z sobą kolidować, ale co zrobić, skoro wynikła taka konieczność?

Sędziowie patologicznie wprost nie znoszą „wizytowania” rozpraw przez niektórych adwokatów, zaś taniac substytutów, rozpowszechniony zwłaszcza w dłuższych procesach, doprowadza ich do białej gorączki. Adwokaci gęsto usprawiedliwiają się, przyrzekają poprawę, po czym robią nadal swoje. Co gorsza, w obliczu obecnej wysokości stawek, obowiązujących w ramach oficjalnej taksy adwokackiej, nie ma właściwie szans na zmianę tej praktyki (ostatnia podwyżka opłat w gruncie rzeczy niewiele załatwiła). Z drugiej zaś strony sędziowie nie zdradzają specjalnej ochoty, by spełniać rolę Katonów w stosunku do prawniczego środowiska. Nawet jeśli zdarza im się rugnąć pełnomocnika czy obrońcę na sali za niepoważny stosunek do sprawy, z rzadka tylko decydują się na zawiadomienie kierownika zespołu lub Rady Adwokackiej.

Wszystko więc toczy się dalej bez zmian.

Powrót na salę. Sąd wymierza oskarżonemu karę pięciu lat pozbawienia wolności; prokurator wniosła o cztery. Adwokat wykonuje rutynowy skłon i ze sprawnością, o którą trudno byłoby go podejrzewać, rusza klusem do drzwi. Oskarżony przyjmuje wyrok obojętnie; nie wydaje się zaskoczony. Czekał na kolejną sprawę obrońca sączy mi konfidencjonalnie do ucha, że pani sędzia znana jest z tego, iż orzeka o „oczko” wyżej niż wnosi prokurator. — Ot — dodaje mecenas — taka sobie maniera.

Sędziowie, to fakt, mają swoje przyzwyczajenia i nalogi, których wieloletnia obserwacja ułatwia poruszanie się w procesowej materii. Na przykład: kiedy przewodniczącym składu jest sędzia G. — wiadomo, że trzeba się przygotować na całonocną sesję, bo jeśli okoliczności będą tego wymagały, rozprawa przeciągnie się nawet do późnego wieczoru. Z kolei nieżyjący już sędzia Andrzej K. zyskał opinię człowieka, który „lubił” zamykać oskarżonych odpowiadających z wolnej stopy. Coś w tym chyba rzeczywiście było, bo na trzy procesy, w których się spotykaliśmy, w dwóch doszło właśnie do takiej sytuacji. Klóciłem się z nim nieraz, wypominając mu owe praktyki. Chodziło zwłaszcza o przypadek, gdy młody człowiek, aktywista organizacji młodzieżowej wyniósł z zakładów farmaceutycznych środki odurzające, po czym dał je bezinteresownie grupie znajomych lekomanów, szprycujących się towarzysko na prywatkach. Dzięki poręczeniu społecznemu swojej organizacji odpowiadał z wolnej stopy. Również i zakład wystawił mu jak najlepszą opinię. Przed sądem w ostatnim słowie aktywista powiedział: „Żałuję tego, co zrobiłem, bo sobie zwichnąłem karierę”. Kariera — słowo niedobre, obrosło w ostatnich latach podejrzanymi treściami. Tak też je widać odczytał sąd, który skazał oskarżonego na karę trzech lat bezwzględnego pozbawienia wolności. Aktywista wprost z sali powędrował do zakładu karnego i dopiero po trzech miesiącach, gdy sprawa trafiła do sądu rewizyjnego, skorzystał z dobrodziejstwa przepisu mówiącego o możliwości zawieszenia wyroku. Ale co odsiedział — to jego. — Nie może być — utrzymywał sędzia K. w uzasadnieniu orzeczenia — pobłażania dla takich ludzi. Sprawowanie funkcji społeczno-politycznych jest okolicznością obciążającą, nie łagodzącą. „Sąd — napisał w rewizji obrońca oskarżonego — zawarł w motywach wyroku trudną do zaakceptowania tezę, jakoby przynależność do organizacji społeczno-politycznych w przypadku popełnienia przestępstwa stanowiła dodatkową okoliczność obciążającą. Idąc tym tokiem rozumowania, należałoby przyjąć, że prowadzenie pasywnego trybu życia, czy też nie udzielanie się w działalności politycznej powinno być uznane za okoliczność skutkującą złagodzeniem kary”.

Sędzia K. obraził się podobno na mecenasów za owo ironizowanie. A przecież, niezależnie od anegdotycznej warstwy tej historii, uświadamia ona, jak ważne są — zwłaszcza w sądzie, gdzie rozstrzyga się o najwyższych dobrach człowieka — roztępa i należyta precyzja słów.

(C.d.n.)

Czy mąż bił? Tak, bił. Od jak dawna. Od dawna. W jaki sposób? W różny. Co to znaczy „różny”? Na przykład sznurem od żelazka albo pięściami. Czy kopał też? Tak. Często? Często. Gdzie świadek stracił zęby? To było po tym, jak mąż wrócił nad ranem pijany i wywłócił ją z łóżka. Nie spodziewała się go tej nocy i przysnęła. Nie zdążyła uciec z dzieckiem do sąsiadów. Pchnął ją z całej siły na drzwi; właśnie wtedy uderzyła głową o framugę i wybiła sobie kilka przednich zębów. Czy zgłaszała na milicję? Nie, nie zgłaszała. Dlaczego?

— Bałam się — przyznaje kobieta i płacze.

Drab wyjmując z kieszeni grzebyk i zaczyna się nim czochrać. Sąd zwraca uwagę, że oskarżony nie znajduje się w zakładzie fryzjerskim.

Pani prokurator ma kilka pytań do opiekuna społecznego: — Dlaczego pan nie sygnalizował organom porządkowym, co się tam dzieje?

Starszy mężczyzna, stojący za barierką dla świadków, jest wystraszony. Opowiada, że rozmawiał z dzielnicowym na ten temat, ale potem przestał, bo oskarżony, jak zobaczył opiekuna na ulicy, groził mu pięścią.

— Proszę zapisać: „Oskarżony dopuścił się względem mojej osoby gróźb, wywołując przekonanie o realnej możliwości ich spełnienia” — dyktuje sąd do protokołu. — Oskarżony, proszę wstać.

Damski bokser unosi się niechętnie ze swego miejsca. Dopiero teraz widać naprawdę, jakie z niego byczysko. Czoło wieńczy mu potężna siłwa, stanowiąca pozostałość po nieporozumieniu towarzyskim w areszcie, kiedy strzelił z nienacka bykiem funkcjonariusza więziennej straży.

— Czy oskarżony przyznaje się do grożenia świadkami?

Oskarżony wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że cała sprawa niezbyt go interesuje. Ożywia się dopiero wówczas, gdy zaczynają zeznawać sąsiedzi. Pod ciężarem jego wzroku kluczą, zonglując półsłówkami i niedopowiedzeniami, uciekają od zadawanych pytań, niewygodnych z punktu widzenia dalszej, bezpiecznej egzystencji.

Młoda prokurator traci cierpliwość: — Proszę pana, co pan nam tutaj opowiada, przecież w dochodzeniu świadek mówił zupełnie coś innego.

Dżentelmen w eleganckiej marynarce w jodelkę nie pozwala się zbliżyć z tropu: — Prawdopodobnie moje zeznania zostały źle zaprotokołowane. Ja nie widziałem, żeby pan Wytych bił swoją żonę. No, owszem, jakieś odgłosy może czasem dochodziły, ale tak na ogół tylko słyszałem o tym od ludzi.

— Od jakich ludzi? — usiłuje ustalić sąd.

żona oskarżonego przybiegała nieraz do pana mieszkania pobita, a zdarzało się, iż nocowała z dzieckiem na schodach.

Płecy w marynarce w jodelkę wykazują objawy zdenerwowania: — Ja nie wiem, Wysoki Sądzie — pada wreszcie odpowiedź. — Te wszystkie historie dzieją się przecież w czterech ścianach, a trudno wnikać w czyjeś życie osobiste.

Pani prokurator ma tego dosyć. Unosi się ze swego miejsca i prosi, by sąd sporządził odpisy zeznań świadka i przesłał je do prokuratury „celem wszczęcia postępowania przygotowawczego w przedmiocie składania fałszywych zeznań”.

— A nie mówiłam, żebyś się do niczego nie mieszał? Dobrze ci tak. Oj, będziesz ty miał za swoje — lamentuje w zaciśniętym głosie jakiś batus, pewnie żona świadka, który, oszołomiony niekorzystnym dla niego obrotem sprawy, przycupnął na ławie. Za nimi — po przeciwnych krańcach — siedzą dwie starsze kobiety. To matki: jego i jej. Ani razu nie spojrzały na siebie.

Ta druga opowie przed sądem o poniżeniach, jakich doznawała od zięcia; opowie o gehennie małżeńskiej córki, gdzie na porządku dziennym była wódka, a podstawowym argumentem w rozmowie — zaciśnięty kulak. Wielokrotnie namawiała Ankę, żeby wyniosła się z domu i złożyła sprawę o rozwód, ale ona nie chciała, ciągle liczyła, że Marian się zmieni. Zresztą nieraz jej przyrzekał poprawę. Z tego wszystkiego dziecko dostało nerwicy, lecz się w przychodni specjalistycznej. O, tu są zaświadczenia. Pomagała im, jak mogła, dopóki jej nie zabrakło zdrowia i sił. Zresztą, co tu pomagać, jeśli on nie pracował, wynosił wszystko z domu i sprzedawał, a ją, matkę, obrzucał najgorszymi przekleństwami.

— Dużo dzisiaj płaczu — wzdycha podczas przerwy pani sędzia, która z dnem ludzkiego bytowania styka się na co dzień i już nie robi to na niej takiego wrażenia, jak kiedyś, na początku kariery.

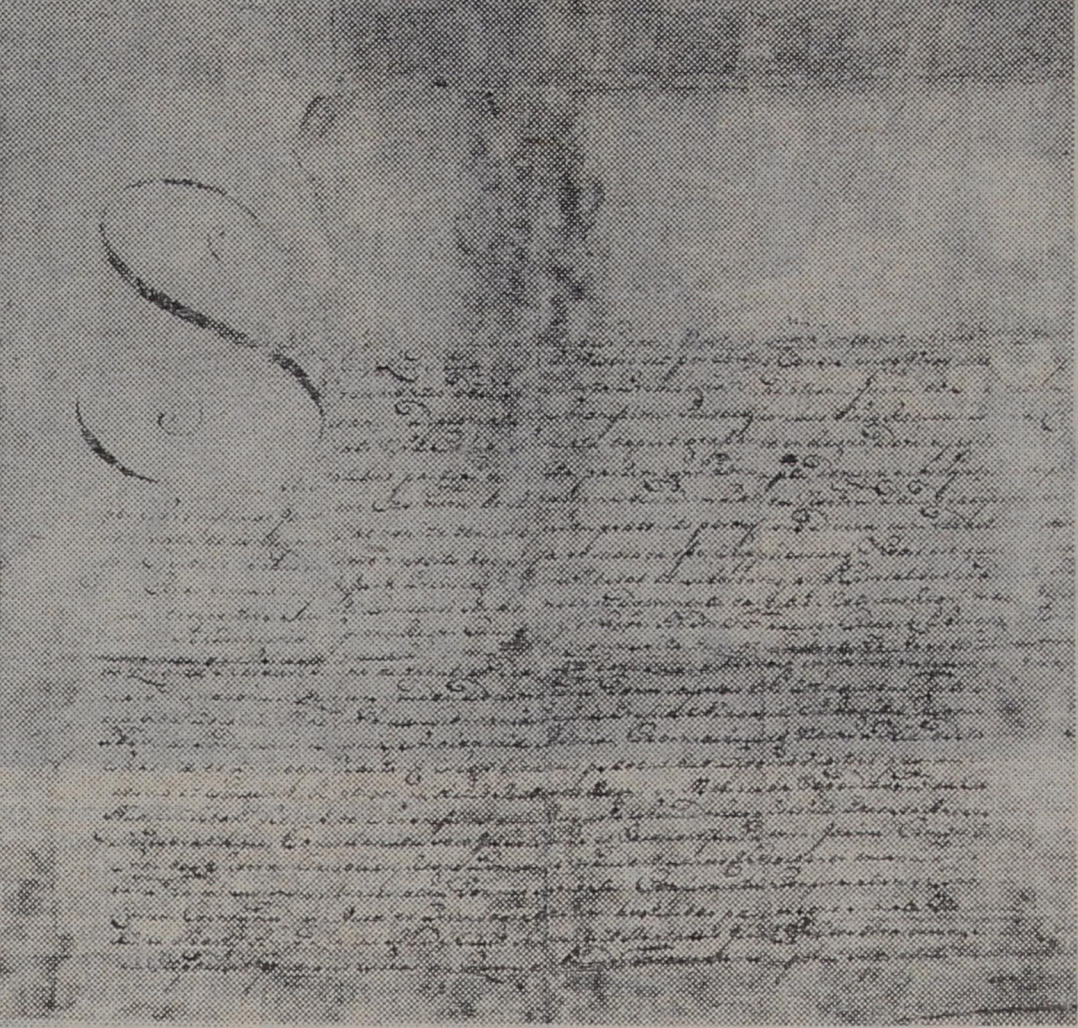
Adwokat — siwy, ruchliwy, zabiegany — po przerwie spóźnia się na salę, w związku z czym musi wystąpić z ust sądu litanią cierpkich słów, które kwituje rytmicznymi skłonami w przód i w tył, mającymi prawdopodobnie oznaczać gest przeprosin. Sprawę przydzielono mu z urzędu i, niestety, nałożyła się z terminem innej, toczony po sąsiedztwu. Usiłując wybrnąć z sytuacji, mecenas myśli obecnie tylko o jednym: by jak najszybciej skończyć swój udział w bezbarwnym, nijakim procesie i udać się tam, gdzie go niecierpliwie oczekują. Na szczęście druga sprawa to typowa złodziejówka, z piątką oskarżonych. Co prawda interesy procesowe niektó-



Wiele z dokumentów, odzwierciedlających bogatą przeszłość ziemi łomżyńskiej, podczas licznych wojen, jakie przetoczyły się przez te tereny, uległo zniszczeniu. Są jednak i takie, które odnajdywały się dopiero po wielu, wielu latach przekonania o ich zaginięciu. Do takich należy m.in. dokument będący najstarszym oryginalnym odnowieniem i potwierdzeniem praw miejskich miasta Kolna — wystawionym w 1752 r., a podpisanym przez króla Augusta III. Odnalazłem go w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie wśród akt miasta... Kalisza (prezentujemy go na zajęciach). Odnowienie praw miejskich zostało dokonane w oparciu o wcześniejsze przywileje przyznane miastu przez książąt Mazowieckich, a szczególnie Janusza I Starszego z 1425 r. oraz o lustrację z 1661 r. i nadania królestwa Jana Kazimierza z 1673 r. i Augusta II z 1715 r. Opisane w tym dokumencie prawa i przywileje mieszczan kolneńskich dają obraz życia miasta sprzed przeszło 300 lat.

„W województwie Mazowieckim, w Ziemi Starostwa Łomżyńskiego miasto Kolno. W tym Mieście Ziemskie Sady i Grodzkie bywają, zasiadło Miasto na Włókach N-ro 47. (włóka = 16,5 ha a oznaczenie N-ro należy rozumieć jako ilość lub liczbę — przyp. autora). Wojtkowskich Włók N-ro 4. Na której Przywilej pokazał Najjaśniejszego niegdy Króla Imci Jana Kazimierza Urodzony Stanisław Brzostowski Podstarość Ostrołęcki sobie po śmierci Urodzonego Alexandra Kossowskiego, w Warszawie dnia IV. Miesiąca Kwietnia Roku Pańskiego MDCL XVIII. Miłościwie konferowany. Pokazali Mieszczanie Privilegium... od Najjaśniejszego niegdy Króla Imci Jana Kazimierza w Warszawie Dnia IX. Miesiąca Września Roku MDCL XI. W którym Przywileju jest odnowienie Praw Dawnych i dostatecznie wszystkich powinności do oddawania należących opisanie. Poświętne Włók N-ro 2. (poświętne = ziemia należąca do kościoła — przyp. autora). Osadnych, albo zasiewanych Włók kawałkami nieznajduje się, tylko Włók N-ro 10. płacą Czynszu z każdej Włóki po groszy cztery, uczyni Złoty jeden, groszy Dziewięć. Kapłonów po N-ro 4. rachując jednego po groszy dwanaście daje Złotych Sześć. Owsa po korcy N-ro 7, uczyni korcy N-ro 70. Korzec rachując po Zł. 1, daje zł. 70. Z Ogrodów których było Morgów N-ro Sto Czerdziesięć Trzy, płacić byli powinni po groszy Dwadzieścia Dwa, teraz tych Ogrodów nie masz. Z domów na ów czas będących N-ro 260, a teraz ledwie 15. nieplacą z nich nic podług daw-

AUGUSTUS III
DEI GRATIA Rex Poloniae, Magnae Rusiae, Lithuaniae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Kijovae, Volhyniae, Podoliae, Podlachiae, Lituaniae, Smolensciae, Severiae, Czerniechoviae, Necnon Haredianus Dux Saxoniae & Princeps ELECTOR



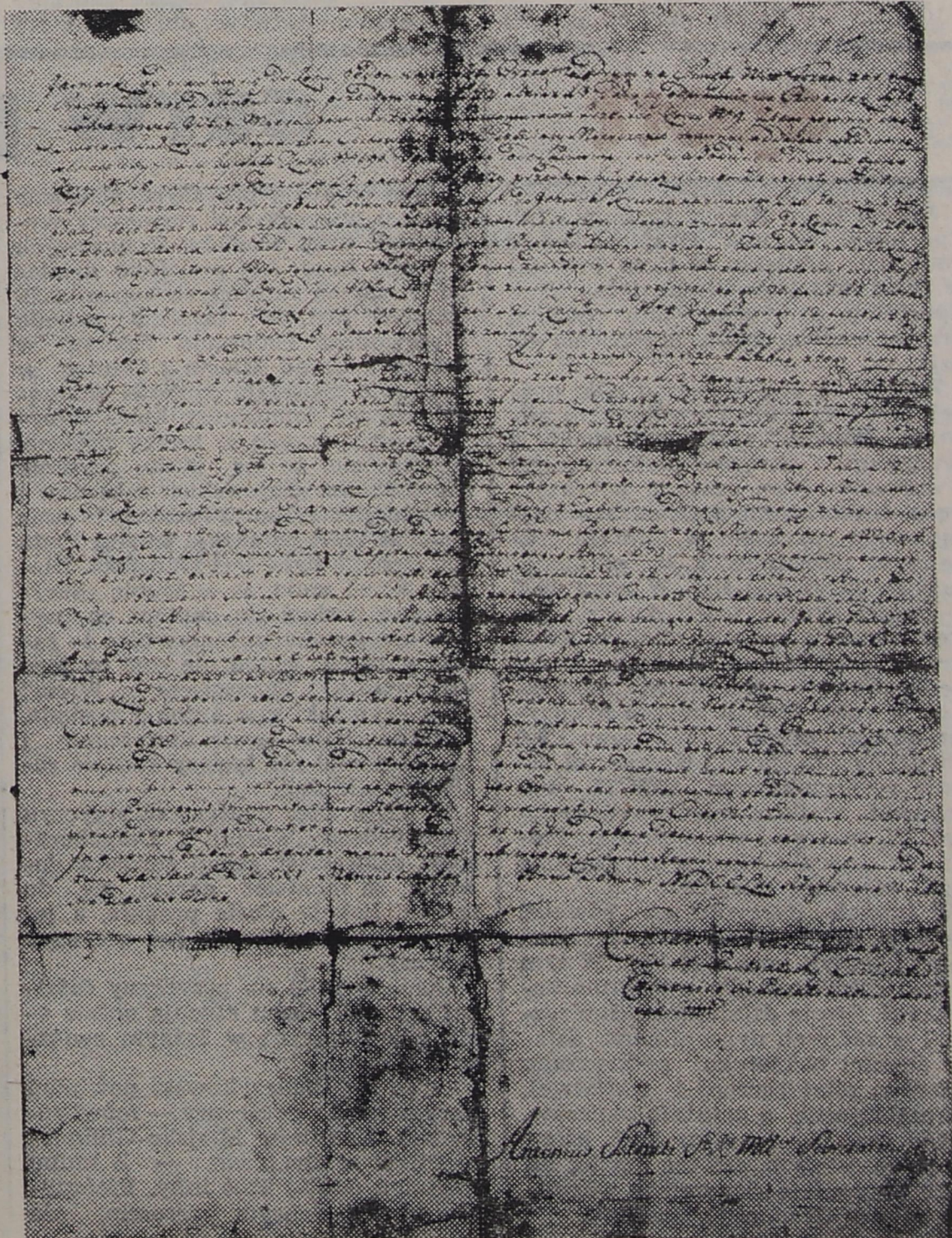
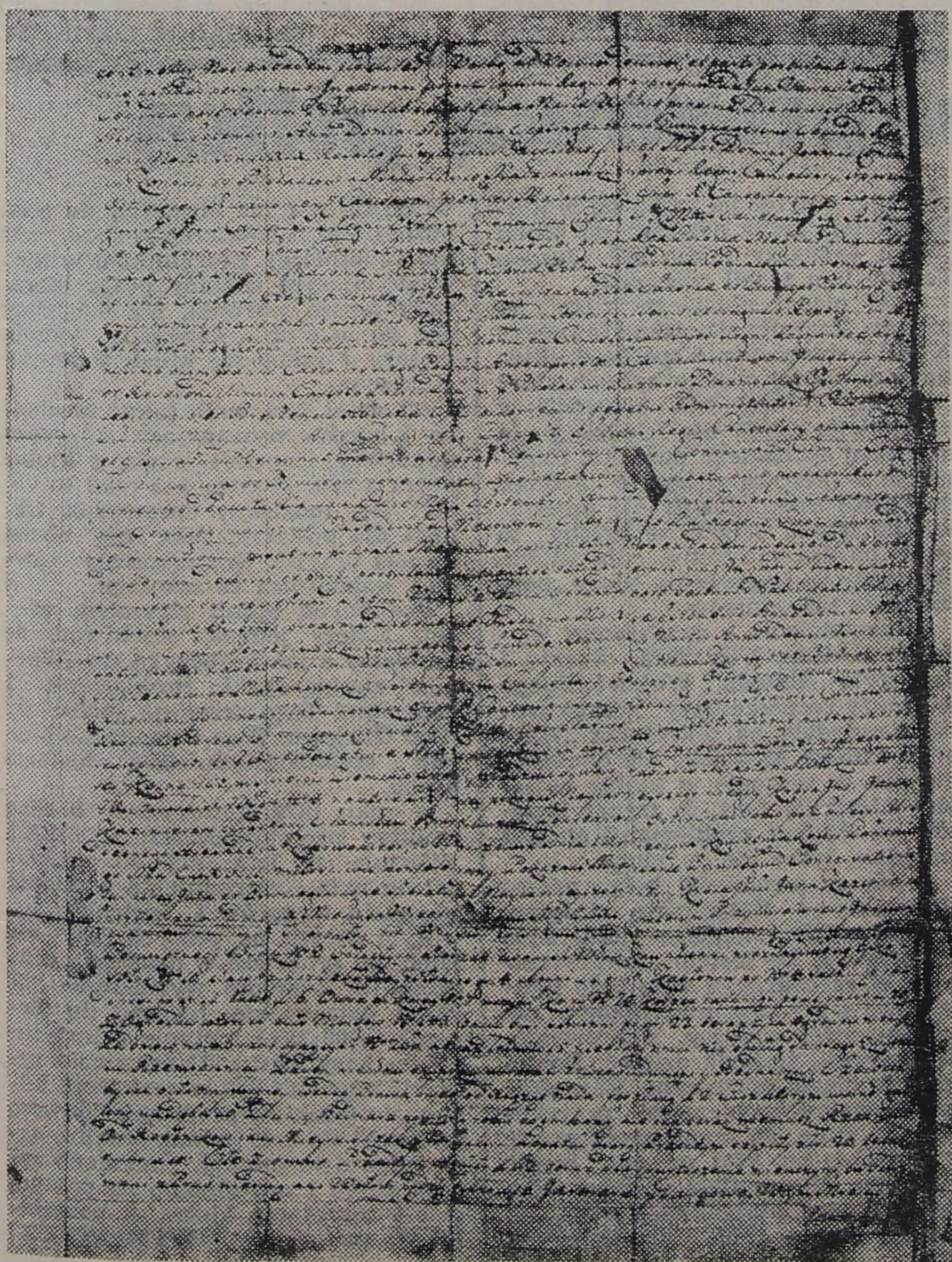
Kolno na włókach

nego zwyczaju. Rzemieślnicy żaden nie płaci Czynszów, oprócz Szewców, Zdunów i Bednarzów. Szewców by ich było najwięcej według Prawa swego od Książąt nadanego płacą Złotych dwa. Ciż którym wolno gaić się na Dąb Zł. 20. Zdun i Bednarz powinni robić co im karzą, ale ich teraz nie masz. Rzeźnicy. Od Rzeźników jako Miejskich tak i Wiejskich łopatki biorą. (od każdego sprzedawanego w mieście zwierzęcia odda-

wali łopatkę dla starosty — przyp. autora). Przedtem czynili Zł. 20, teraz tylko Zł. 10. Cło ziemne. Przedtem czyniło Zł. 62, teraz dla spustoszenia nieuczyni, bo Furmani z Prus niejadą, ani Wołów pędzą, tylko Zł. 15. Jarmarki i Targowe. W tym Mieście trzy Jarmarki odprawiają się do Roku. Jeden na Święty Grzegorz, drugi na Święty Witt, trzeci zaś na Święty Łukasz. dawnymi czasy przedtem czyniło Zł. 2, a teraz Zł

trzy. Targ się odprawia we czwartek. Piwowarowie. W tym Mieście powinni zalewać Piwowarowie Pszenice korcy N-ro 9. Z tego powinni dać Dworowi półkorca, a Młynarzowi cechowego grosz jeden. Te miary Mieszczanie powinni oddawać we Dworze, którego wymiaru bywało korcy N-ro 196. Teraz tylko jeden Piwowar jest i słoduje się, niedostanie tylko korcy N-ro 15 rachując korzec po Zł. 2 daje Zł. Trzydzieści. Jazy przedtem były ich nie masz, czyniły przedtem Zł. cztery. Mieszczanie wszyscy płacili odkupując przewóz do Jeziora Krusko (obecnie jezioro Serafin — przyp. autora). Zł. dwadzieścia. Teraz nie nieplacą. Jest plac pusty przy tym Mieście, na którym Dwór był Xiążęcy, płacono z niego Zł. jeden do Roku. Przedmieście Łabno leży pod Miastem Kolnem przez Rzekę Łabno nazwaną. Zasiadło na Włókach N-ro 30. Między którymi Wojtkowskich Włók N-ro 6. Prawa żadnego na nie nie pokazano i kto jest Jego Posesorem nie stwierdzono. Zasiadłych Włók N-ro 3, które zasiewają, płacą Czynsz po Groszy trzydzieści daje Zł. trzy. Owsa po korcy N-ro 7 z Włóki, korzec rachując po Zł. jeden daje dwadzieścia jeden. Kapłonów N-ro 4. Kapłon po gr. 12 daje Zł. 4 gr. 24. Z przymerzanych Włók 8. płacono Złotych Ośm, ale te zarosły i nie zasiewają ich. Młyny. Młynów do Kolna należących znajdowało się dziewięć. Pierwszy Kolak nazwany na Rzece Łabna z tego jako i przedtem Młynarz płaci Złotych Dwanaście. Drugi Ziaia nazwany, z tego Dawano Złotych Dwanaście, teraz spustoszał. Trzeci Bartek rzeczony na tejże Rzece, płacił Złotych dwanaście teraz go nie masz. Czwarty Krzysztof mianowany, z tego płacono Złotych dwanaście, teraz spustoszał. Piąty na Rzece Pisi, z którego przedtem dawano Złotych Ośmnaście, teraz pusto leży. Szósty, Siódmy i Ośmy na tejże Rzece, dawano z jednego Złotych Czerdziesięć Cztery, z Drugiego Złotych Dwadzieścia Cztery, a trzeciego Złotych Dwadzieścia Dwa. Te Młyny spustoszały i żadnego nie masz gdzie były. Dziewiąty jest na palach, z którego płacą Złotych dwanaście. Dziesięcina. Z tego miasteczka i Przedmieścia Łabno nazwanego. Dziesięcina wytyczna należy do Kapituły Płockiej. Granice. To Miasto ma jedną z Zabielem, drugą i trzecią z Czerwonym, a Czwartą ze Wsią Gromadzinem Dziedziczną. Suma Dochodów z tego Miasta daje Złotych Dwadzieścia, groszy cztery. — tak wyglądało miasto Kolno spustoszone przez wojska szwedzkie i tatarskie w roku 1673.

CZESŁAW BRODZICKI



A black and white photograph of a man with glasses and a beard, wearing a dark jacket, holding a cigarette. He is standing in front of a wall covered with framed pictures and posters.

G.J.L.: — Każde miejsce pobytu

G.J.L.: — Sztuka, dająca odpoczynek oczom i duchowi; obraz, na który

Kości Łukomskiego i innych dostojników kościelnych, po czym dostałem zamówienie na konserwację obrazów w kościele i klasztorze OO Kapucynów. Wkrótce dowiedział się też o mnie powiatowy komitet PZPR, angażując do prac dekoratorskich przy imprezach okolicznościowych: Z okresu tej współpracy pochodzi też pom-

— Myślę, że ta rozmowa przybliży pa-
na osobę naszym czytelnikom i być może
zainteresuje pańską twórczością tych,
którzy jej dotychczas nie znali. Dziękuję
za spotkanie.

Rozmawiał: JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

serw papierową piłką

W innych dyscyplinach również nie było źle. W roku 1977 tenisistów toczyły boje o II ligę. W tym samym roku walczyły o to samo koszykarki. Swoją działalność klub rozwijał w różnych dyscyplinach; działały sekcje: bokserska, podnoszenie ciężarów, piłki ręcznej i siatkowej, lekkoatletyczna, a ostatnio zapasów. Można rzec, że do roku 1977, który był przełomowym, coś się działo; na miarę oczywiście skromnych warunków jakimi dysponuje Grajewo.

— To nie Pieńczykowski powinien zrezygnować z prezesury — mówi sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Grajewie. — Z klubu powinien odejść ktoś inny. Pieńczykowski był dobrym prezesem, ale

rantów, a przecież nikt nikogo nie przymuszał i wszyscy dobrowolnie deklarowali, że będą działać. Dobiła mnie ta ciągła szarpanina. Zawodnicy ze swoimi problemami przychodzili do mnie. Ja mam swoją pracę, a w klubie też ktoś za coś bierze pieniądze. Nie miałem w pracy klubowej żadnej satysfakcji. To tak, kłulię głową w mur. Dziwne, że w

Z roku 1979 opracowano bardzo ambitny program działania MLKS „Warmia” na lata 1979—83. Zakładał on m.in. zatrudnienie w klubie trzynastu trenerów i instruktorów, w tym dwóch na pełnych etatach. Mieli oni pracować w dziesięciu sekcjach (!). Sekcjom wyznaczono zakłady patronackie. Liczono ile pieniędzy (800 tys.) wpłynie z instytucji do kasy klubu. Uzdrawienie sytuacji zapewnić miała realizacja kilkunastu punktów programu. Słownem rozmach! Do dziś jednak zrealizowano tylko dwa punkty: zmieniono zarząd klubu i zatrudniono na pełnym etacie sekretarza klubu. A pozostałe? Na papierze. **WYMIATACZ**

MINI-KABARET
PIEKIELKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
DIABELSKIE
OBRACHUNKI

Diabły po wyczynach Dojlickiego rozważają sytuację.

SUPRASKI: Różności mnie się w życiu przytrafiały, ale pierwszy raz uważam, żeby jeszcze dychającego tak ze wszystkim zabetonować.

BUŻAŃSKI: I tak miał szczęście, że akurat „Telewizja w sprawie miliardów” ogłosiła o zbywającym w Chelmku cemencie, i że chcieli go na butapren wymienić. W szpitalu wprowadzie mieli tylko klej biurowy z kapturkiem, ale na cement wymienili. Gdyby mieli prawdziwy butapren pewnie by i gips dostali.

BIEBRZAŃSKI: Tym sposobem wprowadzie butów w Chelmku nie skleją, ale może się nam Dojlicki zrośnie.

SUPRASKI: Zeb go tylko na wydział wcześniaków nie położyli, bo tam coś ssie od samego położenija kamienija wengielnego.

NARWIAŃSKI: Jak to co ssie? Noworodki ssają!

SUPRASKI: Niech się nie nerwuje. Jakby tam tylko noworodki ssaly, to by kulięga Dojlicki przetrzymał śpiewajoney. Ale tam i noworodki ssie do żywego.

NARWIAŃSKI: W nowym szpitalu za 135 milionów złotych?

SUPRASKI: W nowym. Mówiono, że ssie rura od tlenowni. W projekcie miała pompować, ale ssie.

BUŻAŃSKI: Możeby tak szpital do mleczarni podłączyć? Tlenownia miałaby co ssać, a i grajewscy by zarobili jakby to ruszyło.

BIEBRZAŃSKI: Grajewscy i tak co mają zarobić, to zarobią, bo choć mleczarnia razem z duńskim wyposażeniem stoi, to się ludziom mieścić w miesiąc okrążył milion wypłaca, a poza tym szpital ma dosyć własnych ścieków, które się do piwnicy odprowadza. Żeby się tylko Dojlicki z ran wylizal, zanim poziom sięgnie pierwszego piętra, bo to był najczystszy diabeł w całym regionie. Nawet mięsne kartki na przydział proszku z jedną znajomą przed-szkolanką wymienić.

SUPRASKI: Higieny we szpitalu nie brakuje. Wrzontek nawet w klozecie, lecz i nie jeden nieuważny z poparzoną przepukliną wypisany nie został.

NARWIAŃSKI: Wypiszą i Dojlickiego, personel ofiarny, robi co może.

SUPRASKI: Dwie niedziele, to znaczy dwie wolne soboty temu mogli robić lewatywy, ale teraz nie mogom, bo przecyszczanie szkodzi dla Dojlickiego — na ustrój — nie znosi wszystkiego, co lewatywne. Ale nawet jakby znosił to i tak nie mogom, bo gruszek nie majom. Gruszki były importowane.

BUŻAŃSKI: Przecież redaktor Woźniak odkrył przez telewizor całe złoża gumi na Rzeszowszczyźnie.

SUPRASKI: I tak nie mogom. Tera tylko mierzo temperature.

NARWIAŃSKI: Rozpalony?

SUPRASKI: Jak po slalomie — do czerwoności. Jeden docent ortopeda z Katowic to nawet chciał kuć Dojlickiego, póki gorący.

NARWIAŃSKI: Zastrzyki bierze?

SUPRASKI: Kuliega Narwiański ciongle jakby z innej strefy — dolarowej wieniec. Z czego zastrzyki?

BUŻAŃSKI: Dojlicki z gorszych tarapatów wychodził. Na reanimacji leży, ale wiadomości nie stracił. Stary, wypróbowany diabeł, taki to i placebo w opłatku przelknie i do siebie dojdzie. Ja się o Dojlickiego nie martwię.

BIEBRZAŃSKI: Więc co robimy?

BUŻAŃSKI: Żniwa za pasem, trzeba się zorganizować w brygadę pomocy indywidualnemu rolnikowi. Piwo wszystkim stawiają, żeby tylko nie pomagać!

Diabły organizują się.



„Groźna głowa” — Paul Klee malarz szwajcarski, zm. w 1940 r., autor swobodnych i pełnych poezji, nierzadko fantastycznych obrazów, uznanych przez propagandę Hitlera za objaw sztuki zdegenerowanej. Reprodukacja Włodzimierza Ciesińskiego.

Dziwy z importu

TRZECIA Tajemnica

James Dawney, który — jak utrzymuje — należy do sekty Trzeciej Tajemnicy Matki Boskiej Fatimskiej, uprowadził samolot irlandzkiego towarzystwa lotniczego, lecący z Dublinu do Londynu i skierował go na francuskie lotnisko Le Touquet. Porwacz domagał się opublikowania w prasie treści swej „Trzeciej Tajemnicy”, która według niego może zbawić świat.

Matka Boska Fatimska ukazała się w Portugalii między innymi niejakej Łucji objawiając jej właśnie trzy tajemnice. Pierwsza dotyczy chrystianizacji bolszewickiej Rosji, druga stanowi zapowiedź wojny gorszej niż dotychczasowe. O trzeciej tajemnicy wiadomo tylko, że spoczywa w zalakowanej kopercie w archiwum Watykanu. Dokument ten został sporządzony przez Łucję, która wstąpiła do klasztoru. Rzecznik klasztoru oświadczył jednak kategorycznie, że o Tajemnicy nic mu nie wiadomo. Trzecia Tajemnica, póki co pozostanie tajemnicą.

Zoologia

O OSTRYGACH

Jeszcze Pliniusz święcie wierzył, że stadem ostryg rządzi najstarsza i największa, „szczególnie zręczna”, obdarzona darem przewidywania i unikania niebezpieczeństw. Podobno wiedzą o tym poławiacze perel i starają się ją schwytac przedze wszystkim. Ostrygi pozbawione wodza „wpadają w panikę” i łatwo zebrać je do sieci.

O ŻURAWIACH

Gdy żuraw stoi na warcie, to zawsze na jednej nodze. W drugiej trzyma kamień, którego upadek w razie drzemki budzi wartownika natychmiast, albo jeszcze szybciej.

O OWADACH

Pajak zjada muchy, a niektóre muchy zjadają pajaki. Jajeczka jętki rozwijają się wyłącznie na jej gnijącym ciele. Trąbiki sfalderowane rodzą się w zamkniętych kapsułkach, a ich jedynym pożywieniem są inne młode trąbiki. Owady pożerają takie mnóstwo roślin, że świadomość, iż są rośliny, które je pożerają, jest prawdziwą pociechą. Są jednak takie owady, które jedzą rośliny, które jedzą owady, oraz takie, które jedzą to, co pozostaje z owadów zjedzonych przez rośliny — choć muszą przy tym pilnie baczyć, by nie paść łupem pewnego gatunku ptaków, które tylko czekają na to, by je zjeść.

DONOS NR 17

Wprowadzie piekło centralne od dłuższego czasu skręcało się w straszliwych konwulsjach, dygotało, targane spazmami traciło dech, ale wreszcie powiło dorodnego bekarta, jakim jest kryzys. Za sam fenomen, że instytucja stała się rodzicielką, warto już dać pożyczkę.

Z bliższą rzeczą wygląda ciut ohydnie, bowiem za dawnych dobrych czasów piekło zapuściło niezgorzej korzenie w niebie. Ostatnio zaś niebo zaczęło odcinać się stanowczo i zdecydowanie, przez co wyschło w gardłach czarciej świcie. Rad niewola musiano przejść z „propagandy rozbuchanego kwitnienia” do akcji „darcia kudłów na rozstajach”.

Z niesłychaną szybkością, wrodzoną tylko u żółwi i ślimaków, podjęto doraźne środki zaradcze i z miejscą dano potwarzy po twarzy, by nie pelzła perfidnie jak byle glista, lecz wyszła zdecydowanie naprzeciw potrzebom chwili. Poskutkowało. Bestia błyskawicznie zerwała się na kosławne nogi ze swoim koronnym hymnem:

Zielony mosteczek ugina się,
zielony mosteczek ugina się...

Oczywiście musiano bezzwłocznie odbrązowić treść utworu, która teraz brzmi zdrowo i rzeczowo:

Zielony mosteczek ugina się,
zielony mosteczek ugina się...

O, cholernik jeden, załamał się!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy na kociach łbach ostrzą dowcip, który poważnie stępiał przez ciągłe stawianie spraw na ostrzu żyłki. Mimo ogólnie trudnej sytuacji z kocimi łbami problemów nie ma, gdyż przy każdej nowej trasie pozostaje wieczny czar dawnych szlaków w postaci esów-floresów i tam właśnie drzemia one w intymnym cieniu pokrzyw, łopianów i wszelkiego innego zielska.

Wprowadzie kocie łby można spotkać także w znacznie dostępniejszych miejscach, ale wiedźmy nigdy nie szły na łatwiznę. Mało tego. Diabło nieoficjalnie wieści głoszą, że stare wiedźmiska przy okazji dokonały epokowego odkrycia, które ujawniło niesłychane zróżnicowanie w ostatnich latach proporcji kocich łbów do baranich na korzyść tych ostatnich i ku uciesze zwolenników kozuchów.

Piekło centralne nie widzi jednak powodów do radości. Dróg się tym nie wybrukuje. Wprowadzie można przejechać się po nich raz i drugi, ale — do nieba jasnego — nie da się tego robić stale.

Nie można także dopuścić do odwodnienia dróg istniejących. Ci, co mieli odwodnienie organizmu, wiedzą, jak może to być nieprzyjemne dla całej gospodarki narodowej.

WYTYCZNE

Kariery szezeble zmienić na kneble.

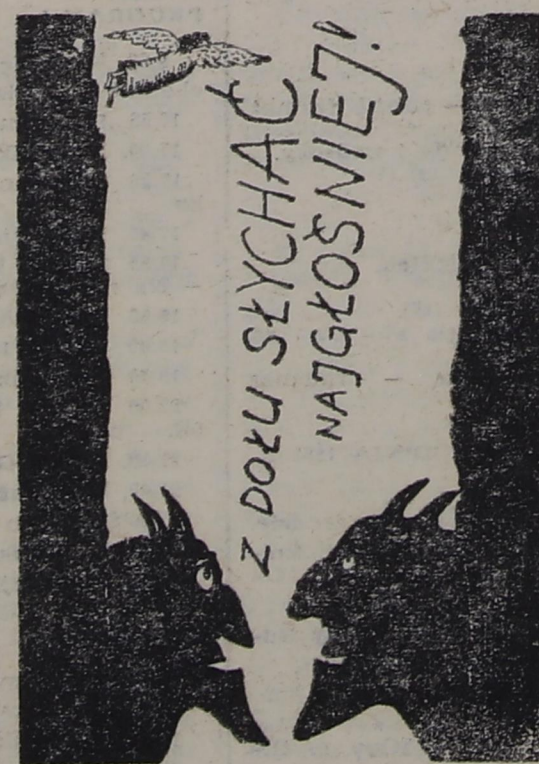
WSKAZÓWKI

Odbijać miarowo piłeczkę atomową.

TWÓRCZOŚĆ

Denerwuje otoczenie katar sienny, więc podziwiać trzeba szefa, co z wyżyn herosa raczy zniżyć się, by utrzcć nam nosa.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO



POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY